ŚWIATOWE ŻYCIE®
EXTRA

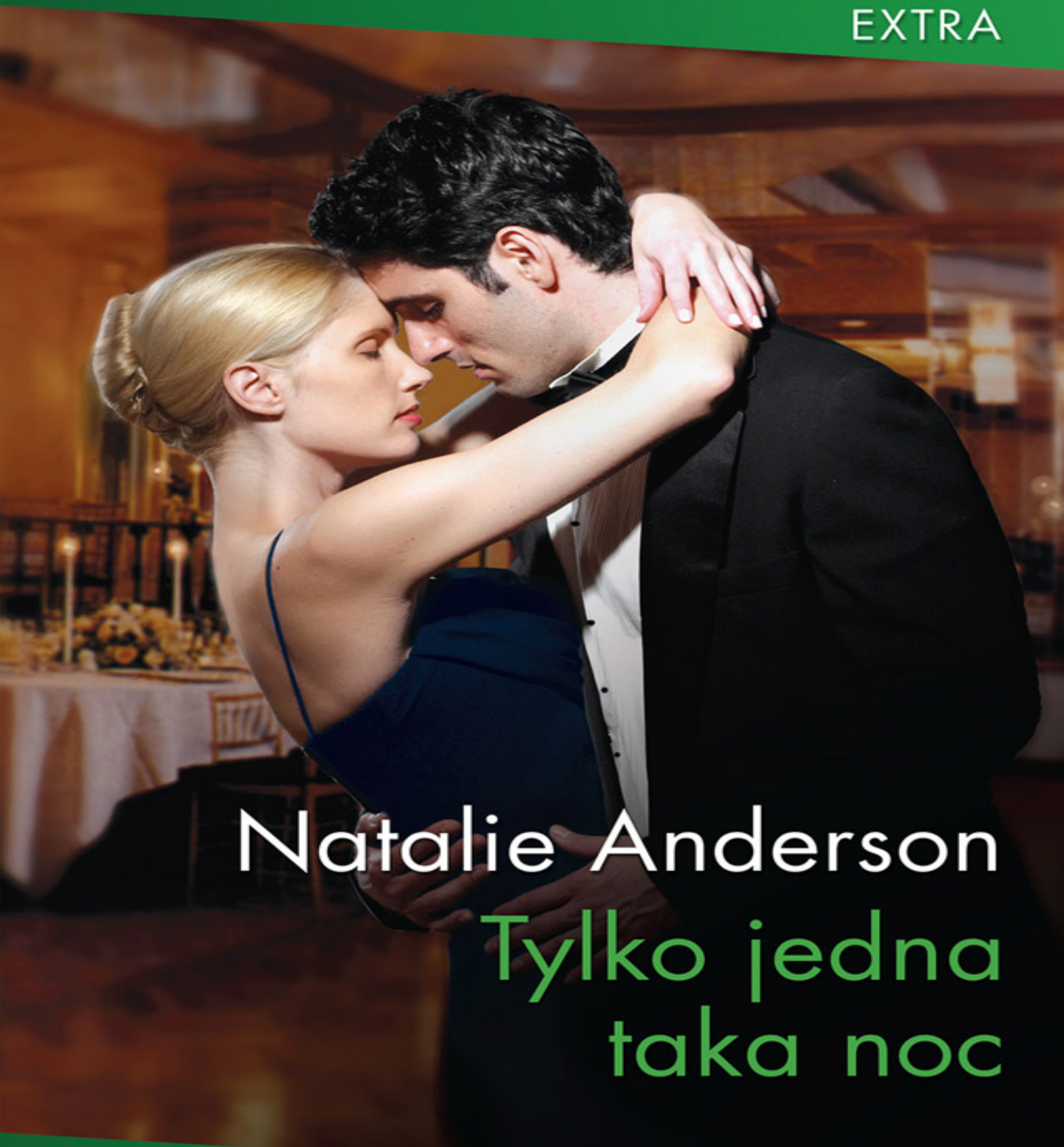

Natalie Anderson

Tylko jedna taka noc

HARLEQUIN®

Natalie Anderson

Tylko jedna taka noc

Tłumaczenie: Maria Nowak

HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa 2021

Tytuł oryginału: *Pregnant by the Commanding Greek*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2019

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

© 2019 by Natalie Anderson
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2021

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-672 Warszawa
ul. Domaniewska 34A
www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-5600-1

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / Woblink

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pies był drobniutki, miał przezabawne uszy, zwisające niemal do ziemi, lśniącą sierść i bardzo sympatyczną mordkę. Zamerdał krótkim ogonkiem, kiedy Tonia zawołała go po imieniu, a gdy impulsywnym gestem porwała go w ramiona i przytuliła do piersi, uniósł łepek i popatrzył na nią ogromnymi, nierozumiejącymi ślepiami. Z cichym szlochem wtuliła twarz w miękkie, ciepłe futerko, pachnące jesiennymi liśćmi i świeżą ziemią, a piesek wcisnął swój wilgotny nos w jej dekolt. Poczuła, że chude ciałko drży, i zagryzła wargi. To nie był czas na łzy.

Zaczęła głaskać pieska, kołysząc się delikatnie, jakby uspokajała dziecko. Po chwili drżenie małego ciałka ustało, piesek sapnął i umościł się wygodniej w jej ramionach, najwyraźniej gotów do drzemki. I dobrze, pomyślała Tonia. Potrzebowała chwili, króciutkiej chwilki, żeby ochłonąć. Minuty ciszy, żeby pożegnać się z Haroldem Clarkiem, długoletnim mieszkańcem rezydencji, który zmarł nagle ostatniej nocy, pozostawiając swojego jedynego przyjaciela, starego jamnika imieniem Kamyk. Musiała zebrać siły, bo odkąd jego pan odszedł, mały Kamyk nie miał nikogo poza nią, kto stanąłby w jego obronie. Nie zamierzała pozwolić, by osieroconemu psu stała się krzywda.

Będzie mi ciebie brakowało, dziadku Harry – powiedziała bezgłośnie, wciąż wtulając twarz w sierść psa, przywołując w pamięci obraz starszego pana, który od lat mieszkał w Rezydencji pod Olchami. Mayfair, ekskluzywna dzielnica Londynu, liczyła niewiele równie luksusowych

obiektów. Na pobyt w jednym z apartamentów ze wszelkimi wygodami i pełną obsługą, położonych w zabytkowej, pięknie odrestaurowanej kamienicy otoczonej szlachetnym starodrzewem, pozwolić mogli sobie tylko ludzie niezmiernie zamożni, i Harold Clarke bez wątpienia należał do ich grona. Jednak pośród egocentrycznych celebrytów, chimerycznych artystów i apodyktycznych rekinów finansjery starszy pan stanowił wyjątek. Był… normalny. I uroczy. Z bogactwem się nie obnosił, a Toni, od pięciu lat zatrudnionej w Rezydencji pod Olchami na stanowisku konsjerżki, czyli osoby, której obowiązkiem było wypełnianie poleceń rezydentów, dbanie, by niczego im nie brakowało, i spełnianie ich najbardziej nawet wymyślnych fanaberii, nie zamęczał żadnymi kaprysami. Zamiast tego zapraszał ją na herbatę. Nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazywał jeden z rozkosznie wygodnych, przepastnych foteli i nie ustępował, dopóki nie umościła się w nim, z westchnieniem ulgi zrzucając pantofle i podwijając nogi, obolałe od ciągłej krzątaniny. Dziadek Harry przynosił herbatę i ciasteczka, po czym siadał naprzeciwko i zaczynał pogawędkę. Uwielbiała iskierki humoru lśniące w bystrych, intensywnie niebieskich oczach, ocienionych gąszczem imponująco krzaczastych, szpakowatych brwi. Uwielbiała tubalny śmiech, którym starszy pan kwitował dykteryjki o bataliach, toczonych przez nią na linii frontu, jakim była praca konsjerżki. Uwielbiała też jamnika Kamyka, który witał ją, merdając z werwą ogonkiem, i mogłaby przysiąc, że widzi autentyczny uśmiech na jego posiwiałej mordce.

Kiedyś jeden z lokatorów Rezydencji pod Olchami nazwał Tonię „Piętaszkiem w spódnicy”, i to określenie przylgnęło do niej na dobre. Cóż, faktycznie, była na każde zawołanie mieszkańców; na tym polegała jej praca, a ona wykonywała ją wzorowo. Ale dla Harolda Clarka nie była

Piętaszkiem. Traktował ją jak wnuczkę, a ona widziała w nim dziadka, którego nigdy nie miała.

Chwile, które dane jej było z nim spędzić, miały posmak beztroski i poczucia bezpieczeństwa, którego nie zaznała od dnia, gdy umarła jej matka, zostawiając ją samą z młodszą siostrą Ofelią, uczennicą pierwszej klasy szkoły średniej. Z dnia na dzień spadła na nią odpowiedzialność za utrzymanie i wykształcenie piekielnie zdolnej, ale też i niezwykle charakternej nastolatki. Dziadek Harry zawsze pytał Tonię, co słychać u Ofelii. A ona szybko się przekonała, że nie warto zbywać tych pytań zapewnieniami, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Pewnego dnia po prostu zdjęła maskę wiecznie uśmiechniętego „Piętaszka w spódnicy", i opowiedziała starszemu panu o swoich troskach. A on wysłuchał jej z uwagą, pokiwał głową. Odezwał się dopiero po chwili. Nie pouczał, nie potraktował jej protekcjonalnie. Jego ogląd sytuacji był rzeczowy i świadczył o wytrawnej znajomości życia. Podziwiała jego spokojną pogodę ducha i mądrość płynącą z doświadczenia. Była przekonana, że dzięki przyjaźni z tym człowiekiem udało jej się pokonać wzburzone wody trzech lat samotnej walki o przetrwanie.

Dziadek Harry umarł tak, jak żył – pomyślała przelotnie, podchodząc do drzwi opatrzonych tabliczką, na której wygrawerowano jego nazwisko. Była bezradna wobec bolesnej świadomości, że nie usłyszy już jego melodyjnego basu, gdy nucił stare piosenki, krzątając się po mieszkaniu albo układając pasjansa na stoliku ustawionym przy oknie z widokiem na ogród. Nie zobaczy już jego zawadiackiego, krzepiącego uśmiechu, tego uśmiechu, który zdawał się mówić: „grunt, to się nie przejmować i mieć wygodne buty". Umarł tak, jak żył, samotnie i spokojnie, nie robiąc wokół całej sprawy wielkiego szumu. Tłumiąc łzy, wyobraziła sobie, że stary dżentelmen powitał śmierć tak, jak savoir-vivre nakazywał witać niezbyt

mile widzianego gościa – z powściągliwą uprzejmością. Owszem, dał znać obsłudze pracującej na nocnej zmianie, że bardzo źle się poczuł. Piekący ból w klatce piersiowej był raczej jednoznacznym symptomem świadczącym o tym, że mięsień sercowy, pracujący niestrudzenie od lat dziewięćdziesięciu, właśnie odmówił posłuszeństwa. Zanim przyjechała karetka, było już po wszystkim. Ratownicy medyczni zastali Harolda Clarka siedzącego w ulubionym fotelu… ale już nie oddychał. Kamyk zaś, jak żołnierz na warcie, wciąż czuwał u boku ukochanego pana.

Tyle dowiedziała się Tonia od kolegi pracującego na nocnej zmianie, kiedy, haniebnie spóźniona, wpadła do pomieszczenia służbowego. Liczyła się każda sekunda, a ona musiała spiąć czymś włosy, bo biegnąc do autobusu zgubiła tę idiotyczną opaskę z kokardą w groszki, która stanowiła część uniformu konsjerżki w Rezydencji pod Olchami. Potem trzeba się jeszcze było przebrać w raczej nietwarzową czarną tunikę ozdobioną logo rezydencji i spodnie do kompletu – na szczęście te ostatnie były praktyczne, odpowiednio skrojone dla kogoś, kto przez cały dzień musiał być na nogach, wykonując najrozmaitsze zadania i usługi. Co najważniejsze, ich przepastne kieszenie mieściły jej notatnik, narzędzie pracy, bez którego ktoś tak roztrzepany jak ona byłby zupełnie zgubiony. Przebierała się za przepierzeniem, spiesząc się jak na pożar, kiedy dotarło do niej to, co mówi kolega.

Dziadek Harry nie żyje.

Machinalnie zapinała guziki służbowego wdzianka, tak jak robiła to codziennie. W głowie miała pustkę. Jakby jej umysł wyłączył się, zastrajkował, nie mogąc się pogodzić z tą wiadomością.

A potem było tylko gorzej.

Do pomieszczenia służbowego wtargnął Joel, młodziutki stażysta, który dorabiał do studenckiego stypendium, załatwiając poranne sprawunki

mieszkańców rezydencji.

– Krewny pana Harolda jest już na miejscu – zaraportował, wyraźnie wzburzony. – Nawet nie zapytał o… o ciało. Od razu zabrał się za przeglądanie jego rzeczy. Kamyk zaczął warczeć i wtedy ten pan bardzo się zdenerwował. Polecił, żebym się pozbył psa.

– Co takiego?! – Tonia zebrała włosy i nie bawiąc się w ceregiele, spięła je zwykłą recepturką, tworząc kiepską imitację koka. – Co…?

Dopiero teraz zauważyła, że Joel niezgrabnie trzyma pod pachą Kamyka. Biedny jamnik bezradnie przebierał w powietrzu swoimi krótkimi łapkami.

– Ten pan powiedział, że jest siostrzeńcem pana Harolda, i przyjechał niezwłocznie, bo czuje się odpowiedzialny za cenne pamiątki rodzinne, będące w posiadaniu jego wuja. Chce je zabezpieczyć. Psa natomiast nie może zatrzymać i uważa, że najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich będzie, jeśli… – tu na chwilę głos odmówił mu posłuszeństwa – jeśli Kamyk zostanie uśpiony. Polecił, żebym zabrał psa, i liczy na to, że niezwłocznie umówimy weterynarza, który przeprowadzi, hm, zabieg.

– Tak powiedział ten pan? – wycedziła Tonia, kiedy udało jej się odzyskać głos. – A jak się ten pan nazywa? Pokazał jakiś dokument tożsamości?

– Mnie nic nie pokazywał. – Joel postawił Kamyka na podłodze z takim pośpiechem, jakby się pozbywał niestabilnego ładunku wybuchowego.

– Pięknie. – Tonia pochyliła się i zawołała pieska, usiłując utrzymać wzbierającą w niej furię na wodzy rozsądku. – Kto go wobec tego wpuścił do prywatnego apartamentu Harolda Clarka?

– Pan George. – Joel rozłożył ręce bezradnym gestem.

George, niedawno zatrudniony zarządca, zdawał się mieć tylko jeden priorytet – cięcie kosztów. Tajemnicą poliszynela było, że właściciel

rezydencji popadł w kłopoty finansowe, nic więc dziwnego, że udzielił nowemu szefowi personelu jednoznacznych instrukcji. Liczyło się tylko to, na czym można było zarobić. Reszta nie miała znaczenia. George okazał się właściwą osobą na właściwym miejscu. Bezwstydnie służalczy wobec tych spośród mieszkańców, których dało się dodatkowo oskubać, ostentacyjnie lekceważył wszystkie inne obowiązki, a personel traktował w sposób opryskliwy. Tonia, gdyby ktoś zapytał ją o zdanie, ujęłaby to zwięźlej i dosadniej – George był po prostu jak wrzód na tyłku. Od tygodni musiała zażegnywać kryzysy, które wywołał swoim obcesowym zachowaniem. Ale samowolnie wpuszczając obcego człowieka do mieszkania Harolda, posunął się zdecydowanie za daleko.

– Już ja zrobię z tym porządek. – Chwyciła pieska w ramiona.

Kiedy stanęła przed drzwiami, które tyle razy w ciągu ostatnich pięciu lat otwierał dla niej dziadek Harry, pozwoliła sobie na chwileczkę słabości. A potem wzięła się w garść. Anonimowy „siostrzeniec Harolda” usłyszy od niej parę słów prawdy. Czy kiedykolwiek pojawił się w Rezydencji pod Olchami za życia wuja, żeby go odwiedzić? Ależ skąd. Ani razu. Ale przyleciał jak na skrzydłach, gdy tylko ten zmarł. Zaczął grzebać w osobistych rzeczach Harolda, nie czekając nawet, by ciało ostygło… to było oburzające. I z pewnością niezgodne z prawem – testament starszego pana nie został jeszcze odczytany. Dopóki notariusz nie uczynił swojej powinności, nikomu nie było wolno tknąć niczego, co znajdowało się w lokalu należącym do zmarłego. „Siostrzeniec” był nie tylko bezczelny, pazerny i wyrachowany, ale też okrutny. I chyba głupi. Wtargnął do mieszkania wuja, ubzdurał sobie, że może rozkazywać wszystkim naokoło, i czego zażyczył sobie na wstępie? Żeby uśmiercić Kamyka, wiernego towarzysza Harry’ego. Tonia nie zamierzała puścić tego płazem.

Wzięła głęboki oddech i, wciąż tuląc psa w ramionach, zdecydowanie pchnęła drzwi prowadzące do mieszkania Harolda Clarka. Nie były zamknięte; ustąpiły bez trudu. Z salonu, oddzielonego niewielkim przedpokojem, dobiegały podniesione głosy. Co tam wyprawiał „siostrzeniec”? Tonia nie mogła się doczekać, aż się o tym przekona. Zanurzyła palce w jedwabistej sierści Kamyka, dodając sobie w ten sposób odwagi, i weszła do salonu. Zrobiła jeden krok, potem drugi. Trzeciego już nie zdołała zrobić, bo w polu jej widzenia stanął „siostrzeniec”. Nie tak go sobie wyobrażała. Spodziewała się, że zobaczy indywiduum pokroju Harpagona. Czy mogła zgadnąć, że ten bezczelny chciwiec, człowiek bez serca, który rozpoczął zarządzanie spadkiem po wuju od polecenia, żeby uśmiercić jego ukochanego psa, będzie wyglądał tak… imponująco?

Stał tyłem do niej, pośrodku pomieszczenia, i choć nie był sam, na pierwszy rzut oka widziało się, że tylko on się tu liczy. Przy antycznym sekretarzyku giął się w służalczej pozie George. Obok niego starsza para, w ubraniach równie nietwarzowych, co ich siwiejące fryzury, wciskała się w kąt obok oszklonej biblioteczki, jakby w nadziei, że zdoła uciec, przeniknąwszy przez ścianę.

Wszyscy wpatrywali się w intruza z mieszaniną fascynacji i przerażenia. Tonia pomyślała przelotnie, że im się nie dziwi – facet musiał mieć ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i figurę atlety, którą podkreślał znakomicie skrojony garnitur. „Siostrzeniec Harolda” był nie tylko świetnie zbudowany, ale też, bez wątpienia, bardzo zamożny. Tonia pracowała dostatecznie długo w londyńskim Mayfair, dzielnicy bogaczy, by umieć rozpoznać ubranie szyte na miarę, i to takie, które musiało kosztować majątek. Żaden garnitur z sieciówki, nawet najbardziej renomowanej, nie leżałby tak idealnie, uwydatniając szerokie ramiona, wąskie biodra i długie, muskularne nogi właściciela. Całości dopełniały buty, zapewne wykonane

ręcznie przez włoskiego mistrza, i zegarek na grubej bransolecie, stanowiącej ciekawe połączenie srebra i splecionych, skórzanych pasków. Włosy, oleiście czarne, zaczesał do tyłu z pedantyczną starannością, co musiało stanowić nie lada wyczyn, bo były grube, gęste, mocno kręcone i bez wątpienia niesforne z natury.

Wystarczył jej ułamek sekundy, by zarejestrować te wszystkie szczegóły. I następny, by powiedzieć sobie, że w ogóle jej nie interesują. Co z tego, że „siostrzeniec” nie był przygarbionym, chuderlawym neurotykiem, tylko imponującym okazem samca, i w dodatku prawdopodobnie milionerem? To nie miało znaczenia. A raczej – stawiało go w jeszcze gorszym świetle. Skoro był człowiekiem sukcesu, to dlaczego rzucał się jak hiena cmentarna na majątek Harolda?

– Jak panu nie wstyd?! – wypaliła bez wstępów. Czysta furia zapłonęła w niej nagle, jakby ktoś zapalił flarę, której blask oślepił ją, sprawiając, że zapomniała o Bożym świecie.

O tym, że jako konsjerżka w rezydencji jest obowiązana zachowywać się bez zarzutu.

O tym, że wobec wszystkich gości winna okazywać uprzejmość, życzliwość oraz chęć pomocy.

O tym wreszcie, że ma tu niezłą pracę, a etatu potrzebuje jak powietrza.

– Co pan wyprawia? – atakowała, napędzana nie tylko kipiącym w niej oburzeniem, ale też nagłym smutkiem, który ścisnął jej serce na widok fotela, w którym Harry już nigdy nie miał się rozsiąść, i stolika, gdzie nie rozstawi już szachownicy, zapraszając ją do gry. W tej krótkiej chwili doświadczyła głębokiej samotności, która podziałała jak znieczulenie. Nic już jej nie obchodziło. Ani to, że rażąco przekracza swoje kompetencje, ani tym bardziej to, że George nagle zaczął podskakiwać, wymachiwać rękami i kręcić głową, jakby wykonywał jakiś dziwny, rytualny taniec. Nic nie

mogło jej powstrzymać. – Jak pan śmie włazić nieproszony do cudzego mieszkania?! Jak pan śmie dotykać swoimi brudnymi łapskami rzeczy, które należały do dziad… do pana Clarka? Za kogo pan się ma? Gdy tylko dowiedział się pan, że wuj nie żyje, przyleciał pan tu jak sęp. I na dzień dobry kazał pan zamordować psa! Kamyk jest najsłodszym stworzeniem na świecie, a pan… pan… – urwała, gdy „siostrzeniec", do którego pleców dotąd przemawiała, obrócił się ku niej zwodniczo spokojnym, płynnym ruchem.

I choć nie zrobił nic, żeby przerwać jej monolog, straciła wątek.

Był młodszy, niż sądziła – nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat. Wyrazista twarz, jakby ciosana w twardym kamieniu, robiła uderzające wrażenie; Tonia nie mogła zdecydować, czy, patrząc na tę twarz, czuje odrazę, czy też raczej jakąś dziwną, mroczną fascynację. Mignęła jej myśl, że „siostrzeniec" jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała, ale przegnała ją natychmiast.

– Jest pan po prostu nieludzki – podjęła, mocniej ściskając pieska w ramionach, zdecydowana nie zwracać uwagi na to, że George, za plecami intruza, nie przerywa swojego dziwacznego tańca. Nadal wymachiwał nerwowo rękami, oczy niemal wychodziły mu z orbit, a na twarzy malował się wyraz autentycznej grozy. O, nie, nie zamierzała sprzątać bałaganu, którego narobił. – Osobiście dopilnuję, by nie uszło to panu płazem. Zawiadomię policję. Zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności…

„Siostrzeniec Harolda" nie zrobił najmniejszego gestu, by przerwać jej tyradę, nie powiedział ani słowa. Wystarczyło, że na nią popatrzył. Oczy miał ciemne, w niespotykanym odcieniu brązu – chłodnym jak bezlistny, zimowy las. Tonia poczuła, że brak jej tchu, zupełnie, jakby to nieruchome, intensywne spojrzenie zamknęło ją w żelaznym uścisku.

– Przepraszam – odezwał się po chwili, wciąż mierząc ją tym samym, nieodgadnionym spojrzeniem. – Czy mógłbym się dowiedzieć, z kim mam przyjemność?

– Nic z tego. – Pokręciła głową tak energicznie, że kilka kręconych kosmyków uwolniło się spod gumki i zatańczyło wokół jej twarzy. – Nie mam obowiązku się panu przedstawiać. To pan wtargnął na cudzy teren, bez pytania, bez pozwolenia…

– Pozwolę sobie zauważyć – wyraz twarzy intruza nie zmienił się ani na jotę – że jest pani w błędzie.

George zmienił układ taneczny – teraz wyciągniętą ręką robił dramatyczne gesty, wskazując intruza, unosił znacząco brwi i otwierał usta, jakby chciał przekazać jej bezgłośnie jakąś szalenie ważną wiadomość. Zignorowała go. Z „siostrzeńcem Harolda” jeszcze nie skończyła.

– Ja jestem w błędzie? Ja?! – Gdyby nie pies kulący się w jej ramionach, ujęłaby się pod boki. – Nigdy nie odwiedził pan Harolda, gdy ten żył. Mam rację?

– Owszem, co do tego, ma pani rację. – Mężczyzna nie spuszczał z niej swojego nieruchomego, chłodnego spojrzenia. W jego spokojnym głosie nie dosłyszała nawet cienia poczucia winy.

– Właśnie! – naskoczyła na niego. – Jest pan zwykłym draniem!

– Panno Roberts, panno Roberts! – chrypiał George, wciąż wymachując rękami, jakby się dusił. „Siostrzeniec Harolda” zwrócił się w jego stronę.

– Pan zarządca chciałby chyba zasugerować, że zaszła pomyłka – skomentował bez emocji. – Widzi pani, nie jestem siostrzeńcem pana Clarka. Jeśli chodzi o ścisłość, nie jestem w ogóle spokrewniony z nieboszczykiem.

Nie…?

Poczuła, że traci rezon. Intruz, faktycznie, nie był ani trochę podobny do niebieskookiego dziadka Harry’ego. A tak w ogóle, kim byli ci starsi państwo, którzy ciągle kulili się w kącie salonu? Dlaczego George był zielony z przerażenia? I dlaczego wszyscy wpatrywali się w stojącego pośrodku pomieszczenia mężczyznę z niemal nabożną czcią?

– Nazywam się Leon Kariakis – podjął mężczyzna tym samym, rzeczowym tonem. – Jestem właścicielem Rezydencji pod Olchami. Nowym właścicielem – dodał wyjaśniająco i zerknął na zegarek. – Umowę podpisałem niespełna dwanaście godzin temu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kariakis…? Kariakis…? Tonia bezwiednie uniosła dłonie i przycisnęła je do ust, jakby się chciała w ten sposób upewnić, że tym razem zmilczy. Nazwisko brzmiało znajomo. Wystarczyło kilka sekund, żeby skojarzyła, skąd je zna. Do jej obowiązków należało przecież załatwianie formalności związanych z organizacją urlopów mieszkańców rezydencji, jeśli ci sobie tego życzyli. Wynajdywała hotele, uzgadniała warunki, wpłacała zaliczki. Tradycyjnie, jednym z najpopularniejszych wakacyjnych kierunków była Grecja. A jedną z najczęściej wybieranych sieci hoteli były… hotele Kariakis.

Kariakisowie od ćwierćwiecza budowali imperium hotelarskie, najpierw w Grecji, potem w całej południowej Europie. Teraz byli właścicielami co najmniej setki pięciogwiazdkowych hoteli, uwielbianych i namiętnie odwiedzanych przez wybrednych bogaczy i kapryśnych artystów. Leon Kariakis nie mógł być nikim innym, jak synem pary hotelarskich potentatów. Jedynakiem, o którym opowiadała uwielbiająca ploteczki hrabina Van der Velden. Stara dama mieszkała na parterze rezydencji i chętnie zapraszała sąsiadki na popołudniową herbatkę lub szklaneczkę sherry. O życiu możnych i utytułowanych wiedziała wszystko, a świeżymi nowinkami częstowała gości nie mniej szczodrze niż napitkami, czekoladkami i innymi łakociami, które zamawiała w najlepszej londyńskiej cukierni. Jak każda osoba mocno przygłucha, nie potrafiła

mówić cicho, więc kronikę towarzyską z życia wyższych sfer słyszeli wszyscy, którzy znaleźli się w polu rażenia jej głosu.

– Starzy Kariakisowie mają z tym chłopakiem ciężki orzech do zgryzienia, mówię wam, drogie panie – nadawała ze swadą, choć „starzy" Kariakisowie byli prawdopodobnie dwa razy młodsi od niej, a „chłopak" już chyba przekroczył trzydziestkę. – A dlaczego? Ano dlatego, że to dziwo-ląg! Ponadprzeciętna inteligencja, jak to się mówi. I co z tego, że taki z niego geniusz? Rodzinną firmą w ogóle się nie interesuje, stary Kariakis boi się, że nie będzie miał kto jej po nim przejąć. Może i ten chłopak jest genialny, ale moim zdaniem ma nie równo pod sufitem. Uparł się, że będzie studiował w Ameryce! Phi! Jakby po tej stronie oceanu nie było porządnych szkół. Zrobił dyplom, oczywiście *summa cum laude*, i zaraz doktorat. A potem co? Czy wrócił na łono rodziny, jak Pan Bóg przykazał? Skądże znowu! Postanowił, że zostanie specjalistą w dziedzinie finansów, i przez ładnych parę lat terminował w czort wie jakich firmach. Gdy wreszcie przeniósł się do Europy, stary Kariakis z radości skakał pod sufit, jeśli wierzyć ciotce teściowej mojego wnuka, z którą się ostatnio widziałam w Mediolanie. Niedługo jednak się cieszył. Leon oznajmił rodzicom, że zamierza zacząć karierę od zera. Inwestuje w nieruchomości stojące na skraju bankructwa, zajmuje się rewitalizacją…

– I niebawem ta zabawa mu się znudzi, a wtedy przybiegnie do tatusia i mamusi po kieszonkowe – zaśmiała się jedna z przyjaciółek hrabiny.

Tonia, która układała akurat kompozycję ze świeżych kwiatów w buduarze starszej damy, skrzywiła się z niesmakiem. Jeśli by ją kto pytał, ponadprzeciętna inteligencja dla tego całego Leona Kariakisa była raczej kulą u nogi niż przepustką do łatwego i przyjemnego życia. Pomyślała wtedy, że życzy mu szczęścia.

Teraz, kiedy stał przed nią we własnej osobie, w głowie miała kompletną pustkę.

– Nie jest pan… – zdołała tylko wydukać. Czuła, że musi mieć strasznie głupią minę, ale nie mogła nic na to poradzić. Kompletnie nic.

– Nie jestem siostrzeńcem pana Clarka – powtórzył Kariakis powoli, jak ktoś, kto chce zostać zrozumiany przez osobę ociężałą umysłowo. – To – wskazał oszczędnym ruchem ręki przygarbionego człeczynę, który wciąż stał wciśnięty w kąt pomieszczenia – jest krewny pana Harolda, jego bratanek, gwoli ścisłości. Z małżonką. Ci państwo właśnie wychodzą.

– Wychodzą – powtórzyła Tonia niemądrze, myśląc z rozpaczą, że jeśli Leon Kariakis miał jeszcze jakieś wątpliwości dotyczące tego, czy jest normalna, czy nie, właśnie je rozwiała.

– Owszem. – Skrzywił usta w ledwo dostrzegalnym wyrazie niesmaku. – Omówiliśmy sobie pokrótce prawo spadkowe i liczę, że pojęli, że nie mogą niczego tknąć, dopóki w obecności notariusza nie zostanie odczytany testament zmarłego.

– Ale przecież ukochany wujaszek chciałby… – Kobieta dramatycznym gestem chwyciła się za serce, ale Kariakis nie dał jej skończyć.

– Chciałby, żeby zjawili się państwo tutaj zaraz po jego zgonie i wydali polecenie uśmiercenia psa? – podsunął chłodnym tonem.

– To nieporozumienie, my wcale nie zamierzaliśmy… – Bratanek poczerwieniał, nie tylko na twarzy, ale też na chuderlawej szyi.

– A co niby innego mielibyśmy zrobić z tym kundlem? – oburzyła się w tej samej chwili jego żona. – Nie mamy warunków, żeby trzymać psa! Nie mamy pieniędzy, nie mamy zdrowia, nie mamy czasu…!

– Skoro nie mają państwo czasu, radzę nie tracić go więcej i jak najszybciej opuścić lokal – zasugerował Kariakis, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Nie może pan tak po prostu nas stąd wyrzucić! – Bratanek Harolda postąpił krok do przodu i wypiął pierś, podejmując desperacką próbę uratowania honoru.

– Tak pan sądzi? – zainteresował się uprzejmie jego rozmówca. – Bo mnie się wydaje, że nie miałbym z tym najmniejszego problemu – dodał po chwili namysłu.

Zapadła ciężka cisza. Wszyscy wpatrywali się w dwóch mężczyzn stojących naprzeciwko siebie. Kariakis, w swoim ciemnym garniturze, górował niczym dąb nad siwiejącym człowieczkiem mikrej postury. Ten ostatni zrobił krok w stronę drzwi, potem następny. I jeszcze jeden. Małżonka dołączyła do niego żwawym truchtem.

– To skandal! – Odsunąwszy się na bezpieczną odległość, krewny zmarłego uniósł ręce do góry w geście oburzenia. – Nie zostawię tak tego, słyszy pan? Naślę na pana prawników…

– Znakomity pomysł. Będę ogromnie wdzięczny, jeśli ci prawnicy wybawią mnie od konieczności obcowania z panem.

Tonia przygryzła wargę. Była tu tylko konsjerżką i nie wypadało jej okazywać radości tylko dlatego, że osobom, do których czuła instynktowny wstręt, pokazano, gdzie ich miejsce. Wciąż tuląc Kamyka w ramionach, patrzyła z nieskrywaną satysfakcją, jak samozwańczy spadkobiercy dziadka Harry’ego pospiesznie udają się do windy. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, w apartamencie zapadła absolutna cisza.

– Chciałbym wyraźnie zaznaczyć – George, jako pierwszy, nie wytrzymał napięcia – że nie ponoszę absolutnie żadnej odpowiedzialności za ten incydent…

– A ja chciałbym, żeby opuścił pan ten lokal. – Kariakis nawet na niego nie spojrzał. Wsunął ręce do kieszeni spodni i wolnym krokiem podszedł do okna, jakby rozciągający się z niego widok był jedyną rzeczą, która go w tej

chwili interesowała. – Proszę pójść do biura zarządu i poczekać tam na mnie.

– Oczywiście, proszę pana. Jeśli pan sobie tego życzy… Antonia, zbieraj się, idziemy. – Zarządca porzucił służalczy ton, teraz rozkazywał i pouczał. – Nie widzisz, że pan Kariakis chce chwili spokoju?

– Pani zostanie tutaj. – Nowy właściciel Rezydencji pod Olchami obrócił się, wciąż z rękami w kieszeniach, i wbił w nią to swoje niepokojące, nieruchome spojrzenie.

No pięknie, po prostu pięknie, przemknęło jej przez myśl. Możesz się, kochana, pożegnać z etatem. Leon Kariakis, zamożny światowiec i geniusz, który prawdopodobnie przy porannej kawie kupuje i sprzedaje niejedną nieruchomość wartą tyle, co Rezydencja pod Olchami, na pewno nie będzie skłonny puścić płazem jej zachowania. Jezuniu, ona się na niego wydarła! Nazwała go… jak? Łajdakiem? Szubrawcem, kanalią? Nie mogła sobie przypomnieć. Zresztą, wszystko jedno; teraz będzie musiała go przeprosić. Na samą myśl czuła, że się dławi. Wiedziała jednak, że zrobi wszystko, żeby nie stracić pracy. Nie teraz! Ofelia była w ostatniej klasie szkoły średniej, przygotowywała się do matury. Miała wszelkie szanse, żeby uzyskać stypendium i pójść na wymarzone studia, ale to, czy się jej powiedzie, zależało od Toni. Potrzebne były pieniądze na opłacanie czesnego w liceum z internatem. Ofelia chciała oczywiście zarabiać i nawet znalazła sobie posadę w McDonaldzie na nocnej zmianie, ale Tonia wybiła jej to z głowy. Siostra miała się uczyć, i kropka. Opłatami nie musiała się martwić.

Za to Antonia zbierała grosz do grosza. Podstawą był przyzwoicie płatny etat w rezydencji, do tego dochodziły napiwki od mieszkańców, zadowolonych z pracy zawsze gotowego do usług „Piętaszka w spódnicy”. I wieczorna praca na zlecenie…

W wynajętej kawalerce wielkości pudełka od zapałek właściwie tylko nocowała. Całe jej życie to była praca, odkładanie pieniędzy, rozmowy z siostrą przez skype’a i znowu praca. Cel miała jeden – zapewnić Ofelii poczucie bezpieczeństwa. Niech siostra cieszy się, jeszcze choćby przez rok, względną beztroską. Niech wiedzie życie zwyczajnej nastolatki. Niech zakuwa do egzaminów i imprezuje z kolegami, nie martwiąc się o nic więcej. Niech zda maturę i zacznie wymarzone studia.

Z sióstr Roberts Ofelia była tą rozważną, obdarzoną błyskotliwą, ponadprzeciętną inteligencją. Miała ogromne zdolności do przedmiotów ścisłych. Antonia natomiast była niespokojnym duchem. Roztrzepana, bujająca w obłokach. Romantyczna? Owszem, może kiedyś, ale życie dało jej niezłą nauczkę.

Od tamtego czasu skupiła się na sprawach naprawdę istotnych. Praca, pieniądze, siostra. Reszta się nie liczyła. Wszystko miała poukładane i każdego dnia walczyła o to, by tak pozostało.

Aż do dzisiaj. Zaraz usłyszy, że ma się wynosić z rezydencji, i zostanie z niczym.

Nowy właściciel wciąż mierzył ją nieodgadnionym, nieruchomym spojrzeniem. Mijały sekundy, a on stał bez słowa, bez najmniejszego nawet gestu. Wreszcie Tonia poczuła, że dłużej nie wytrzyma napięcia, którego Kariakis zdawał się być w ogóle nieświadom.

– Jeśli zamierza pan wyrzucić mnie z pracy, to proszę zrobić to teraz – wypaliła z desperacją. – Chciałabym mieć to już za sobą.

Mężczyzna się nie poruszył, nie zmienił wyrazu twarzy. Cisza stała się tak ciężka, że Tonia z trudem łapała oddech. Chyba w całym pokoju było słychać, jak wali jej serce.

– Nie lubi pani niepewności? – odezwał się wreszcie. W jego beznamiętnym tonie wychwyciła chyba ledwie słyszalną nutkę

rozbawienia.

– Nie lubię, gdy każe mi się czekać – powiedziała sztywno.

– Cóż, poproszę o cierpliwość. Muszę pomyśleć – oświadczył.

Tonia skinęła głową. Przestąpiła z nogi na nogę, odsunęła za ucho spadający na czoło kosmyk włosów, pogłaskała psa. Wytrzymała może minutę.

– Czy myślenie zawsze zajmuje panu tyle czasu?

Do diaska, ale palnęła. Aż z zażenowania zapiekła ją twarz. A przecież nie chciała być nieuprzejma, pytanie zadała po prostu z ciekawości. Leon Kariakis był ponoć wybitnie inteligentny, a operacje finansowe, których dokonywał, przynosiły mu milionowe zyski. Zapewne umysł miał równie niepospolity, jak powierzchowność. Ale dlaczego człowiek z taką pozycją poświęca czas na deliberowanie, jak potraktować zwykłego, szeregowego pracownika niskiego szczebla? Tego nie pojmowała.

– Hołduję zasadzie, by nie postępować impulsywnie – padła rzeczowa odpowiedź. – Zauważyłem bowiem, że gdy podejmuję decyzje po gruntownym namyśle, sypiam o wiele lepiej niż wtedy, gdy pozwolę sobie na pochopne działanie pod wpływem emocji.

Tonia zamrugała, potrząsnęła lekko głową, jak ktoś, kto się obawia, że cierpi na omamy. Ale nie, obraz nie zniknął; postawny, imponująco zbudowany mężczyzna ubrany w drogi garnitur, z idealnie ułożoną fryzurą i twarzą o nieprzeniknionym wyrazie, nadal stał naprzeciwko niej.

Czy Leon był żywym człowiekiem, czy może androidem? Robotem najnowszej generacji, pochodzącym z tajnego laboratorium Kariakisów?

Drgnęła nerwowo, kiedy zrobił krok w jej stronę, pochylił się i uważnie się przyjrzał Kamykowi. Minęło kolejne dziesięć sekund absolutnej ciszy.

– Pies jest stary – skonstatował wreszcie, splatając ramiona na piersi.

– No i co z tego? – Odsunęła się, mocniej obejmując jamnika. – Skoro stary, to można go uśpić, tak pan uważa?!

Nie odpowiedział, co jej nie zdziwiło. Ale tego, że wyciągnie rękę i delikatnym, pieszczotliwym gestem pogłaszcze Kamyka po łebku, zupełnie się nie spodziewała. Zagapiła się na tę dłoń, szeroką, mocną, tak bardzo męską. Jak to by było, gdyby przesunął ją zaledwie kilka centymetrów dalej i musnął opuszkami palców skórę u nasady jej szyi, którą odsłaniał dekolt służbowego wdzianka? Jak to by było, gdyby jej dotknął? Czy pozostałby beznamiętny i nieporuszony, jak, nie przymierzając, Terminator? Czy może…?

Pozwoliła, by wyobraźnia wymknęła jej się spod kontroli. I poczuła, że przenika ją gorący dreszcz. Przez sekundę smakowała to uczucie, tę miękkość, tę gotowość, to rozkoszne marzenie… zaraz jednak przywołała się do porządku. Musiała chyba zwariować, żeby w ogóle zapuszczać się myślą w absolutnie zakazane rejony. Jeszcze chwila, a zrobiłaby z siebie kompletną idiotkę.

– Będziesz tęsknił za swoim panem, prawda, stary, dobry kłapouchu? – Leon przemawiał do psa, wciąż głaszcząc jego łebek. – Zmarniejesz bez niego. Co my mamy z tobą zrobić?

Kamyk, jakby w odpowiedzi, zapiszczał żałośnie.

– Nie możemy go oddać do schroniska – wtrąciła Tonia, starając się skupić na psie, tylko na psie, a nie na tym, że właśnie powiedziała „my”, mając na myśli siebie i Leona Kariakisa. I że stoją tu razem, zatroskani losem osamotnionego zwierzaka. – Najlepiej, gdyby został w rezydencji. To znajome miejsce, mieszkańcy go lubią, więc…

– Dziś rano czytałem regulamin Rezydencji pod Olchami i napisane jest tam w punkcie siedemnastym, że mieszkańcom zabrania się trzymania zwierząt. Zna pani ten regulamin?

– Owszem – przyznała, rzucając mu buntownicze spojrzenie.

– Harold Clark miał psa, ale nie zgłosiła pani tego do zarządu. Jakie jeszcze zasady regulaminu uznała pani za stosowne złamać?

– Tylko te głupie, bezsensowne i nieludzkie – prychnęła. – Harold i Kamyk mieszkali tu, zanim jeszcze nowy zarząd wprowadził ten idiotyczny zakaz trzymania zwierząt. Rezydencja pod Olchami to nie kolonia karna. Nie widzę powodu, dla którego mieszkańcy mieliby rezygnować z radości, jaką daje towarzystwo psa, kota albo chociażby kanarka, chomika czy złotej rybki. Oczywiście, o ile zwierzak nie przeszkadza innym lokatorom, a Kamyk przecież nie wadzi nikomu!

– Oczywiście, że nie wadzi nikomu – powiedział Leon niemalże miękko. Rysy jego twarzy złagodniały, kiedy wyciągnął rękę, żeby jeszcze raz pogłaskać jamnika po łebku.

– Może pan by się nim zaopiekował? – Tonia nie miała pojęcia, skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł ani dlaczego odważyła się wyrazić go na głos.

Kariakis w milczeniu głaskał psa. Minęło kilka minut, zanim spojrzał na Tonię.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym tego nie zrobić – powiedział wreszcie.

– Co… co takiego? – wybełkotała, patrząc na Kariakisa oczami wielkimi jak spodki. Milionerzy, którzy kupowali luksusowe nieruchomości, by uczynić z nich lokatę kapitału, nie interesowali się starymi, osieroconymi psami. A już na pewno nie proponowali, że takiego nieboraka przygarną.

– Zamierzam zatrzymać się w rezydencji przez parę dni, może tydzień. Muszę być na miejscu, żeby się przekonać, jak wszystko tutaj funkcjonuje, i zdecydować, co trzeba zrobić, by zoptymalizować koszty, jednocześnie

podnosząc jakość oferty. Rezydencja pod Olchami ma ogromny potencjał, ale dotychczasowi właściciele nie zadali sobie zbyt wiele trudu, żeby go wydobyć. Cóż, ich strata, mój zysk.

– Oczywiście – podchwyciła Tonia. Jej zdaniem zarząd już dawno powinien był dokonać szeregu zmian w sposobie administrowania rezydencją.

– Zajmę apartament zarezerwowany dla właściciela, ten na najwyższym piętrze. Pies zamieszka u mnie, ale dbanie o jego codzienne potrzeby będzie pani obowiązkiem. Spacer rano, w południe i wieczorem, karma, woda, posłanie i tak dalej. To oczywiście rozwiązanie tymczasowe, trzeba mu będzie znaleźć dom na stałe. Umowa stoi?

– Tak jest! – Wyprężyła się jak szeregowiec na zbiórce. W głowie miała tylko jedno: Kamyk zostanie w rezydencji! A ona będzie mogła się nim zaopiekować. I w dodatku… Leon Kariakis otworzył przed nią drzwi do swojego apartamentu. Będzie tam przychodzić trzy razy dziennie, rano, w południe… i wieczorem…

Och, prawdopodobnie był dokładnie tym, za kogo go uważała – zadufanym w sobie, przemądrzałym bogaczem, który nie ma pojęcia, czym jest prawdziwe życie. A jednak coś ją w nim intrygowało. Może skupiona uwaga, z jaką potraktował tak nieznaczący, zdawałoby się, problem, jakim był los starego psa? Może plotki, które o nim słyszała? Czy Leon Kariakis naprawdę był niemalże geniuszem, który zbudował własne finansowe imperium warte miliardy, nie biorąc grosza od rodziców? Zresztą, kogo ona chciała oszukać? Ten mężczyzna po prostu się jej spodobał. I to bardzo. Był wspaniale zbudowany; wiedziała, że nawet najlepszy garnitur mógł leżeć tak idealnie tylko na harmonijnie umięśnionej, męskiej sylwetce. Ale to nie było wszystko. Jego twarz, pozornie bez wyrazu, i te chłodne oczy, pozornie beznamiętne… to nie była poza ani maska. Tak okazywał swój

głęboko refleksyjny stosunek do otaczającej rzeczywistości. Ona natomiast dałaby naprawdę wiele, żeby się przekonać, co się kryje pod tą pozorną obojętnością.

To jednak były mrzonki. Leon Kariakis należał do świata, do którego ona nie miała wstępu. Ona zawsze będzie dla niego jedną z tysięcy mróweczek, uwijających się pracowicie u podnóża budowli, którą wznosił. On będzie pracodawcą jej szefa. Nigdy nie pojawi się między nimi więź zbudowana na odwzajemnionej ciekawości drugiej osoby, na euforii płynącej z fascynującego odkrycia, do którego mogła doprowadzić otwartość, szczerość i bliskość. Nie, to były mrzonki.

Ale jednego nikt nie będzie mógł jej odebrać – okazji, bym móc się do woli na niego napatrzeć. Dyskretnie poobserwować...

Choć wiedziała, że to głupie, czuła się jak dziecko w Wigilię Bożego Narodzenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Co go, do diabła rogatego, podkusiło, żeby komplikować sobie życie, wtrącając się w tę całą idiotyczną historię z psem? Miał przecież precyzyjnie wyznaczony cel, określone ramy czasowe, opracowaną strategię działania… Powinien eliminować wszelkie losowe czynniki, które uniemożliwiały optymalne wykonanie zamierzonych czynności. Ale wystarczyło, że poczciwy starowinka spojrzał na niego tymi wielkimi, smutnymi oczami… Cóż, do psów miał słabość, a to był rasowy jamnik, a więc na pewno inteligentny, bystry zwierzak. Nie mógłby z czystym sumieniem skazać go na poniewierkę albo jeszcze gorszy los. Zresztą, gdyby wyraził taki zamiar, dziewczyna trzymająca psiaka w ramionach prawdopodobnie rzuciłaby się na niego i wydrapała mu oczy. Musiał przyznać, że choć do psa poczuł odruchową sympatię, to jego samozwańcza opiekunka zrobiła na nim o wiele większe wrażenie.

Zachowywała się całkowicie nieracjonalnie.

Występowanie w obronie psa nie leżało w jej interesie. Absolutnie nie – była tu konsjerżką, wiedział o tym, bo zaraz po podpisaniu kupna nieruchomości uważnie przestudiował wszystkie dokumenty dotyczące zatrudnionego tu personelu. Pracowała w Rezydencji pod Olchami na pełen etat od pięciu lat i przez ten czas nie wzięła ani jednego dnia zwolnienia. Nazywała się Antonia Roberts, ale mieszkańcy mówili na nią „Piętaszek w spódnicy”. Gdyby ktoś go pytał, powiedziałby, że ten pseudonim jest pretensjonalny i nawet dość uwłaczający, ale ci, którzy go używali, chcieli

po prostu podkreślić, że Antonia Roberts jest usłużną, niezmordowaną pracownicą. Jedna awantura o psa mogła wszystko zmienić, opinia, na którą dziewczyna pracowała latami, mogła prysnąć jak bańka mydlana. Roberts musiała zdawać sobie sprawę, że nie ma ludzi niezastąpionych, a jednak ryzykowała utratę pracy, by wystąpić w imieniu zmarłego lokatora i jego zwierzaka.

Naskoczyła na niego impulsywnie, nie zadawszy sobie trudu, żeby sprawdzić fakty. Jak mawiał de Talleyrand, to gorzej niż zbrodnia – to był błąd. Leon miał prawo być wściekły, ale nie czuł gniewu.

Metafory nie były jego mocną stroną, a jednak, kiedy patrzył na Antonię, miał wrażenie, że zagląda do wnętrza bursztynu. Była taka… świetlista. Jej oczy, ogromne i pełne emocji, miały ciepłą, orzechową barwę z odcieniem złocistej zieleni. Piegi, którymi gęsto usiana była jej twarz, przypominały słodkie, gorące pocałunki słońca. Wrażliwie, szerokie usta wydawały się kusząco miękkie, a w ich kącikach czaiła się zapowiedź uśmiechu. Włosy, połyskujące złotem i miedzią, usiłowały wymknąć się z upięcia. Mógł sobie wyobrazić, jak otaczają jej dziewczęcą twarz dzikim, nieposkromionym gąszczem.

– Proszę niezwłocznie umieścić psa w moim apartamencie i wyposażyć go we wszystko, co konieczne, a więc posłanie, wodę i karmę – wyrecytował. Miał niemiłe wrażenie, że się powtarza. Wszystko dlatego, że myślami był gdzie indziej. A właściwie, to nie mógł jasno myśleć.

– Tak, oczywiście, proszę pana. – Uniosła podbródek, ale nie stała się przez to ani trochę wyższa.

Kiedy tego ranka, przy kawie, zapoznał się z historią osób zatrudnionych w rezydencji, zupełnie inaczej wyobraził sobie gwiazdę wśród pracowników, Antonię Roberts, która od mieszkańców otrzymywała same pochwały, a w dowód uznania doczekała się nawet określenia

„Piętaszek w spódnicy”. Myślał, że zobaczy istotę będącą skrzyżowaniem maszyny i lalki Barbie. Kobietę robota, blondynkę o klasycznej, miłej dla oka urodzie, osobę idealnie opanowaną, zachowującą się tak, jakby miała zamiast mózgu twardy dysk, a w nim programy zawierające wszelkie dane dotyczące prowadzenia domu, uprawy kwiatów, zasad savoir-vivre’u i gier towarzyskich.

Tymczasem stała przed nim dziewczyna, która lalki Barbie nie przypominała w niczym. Była niewysoka, biodra miała nieco zbyt szerokie, a nogi, odrobinę krzywe, przyciągały wzrok i w jakiś tajemniczy sposób dodawały jej zmysłowości. Jej twarzy nie można było nazwać piękną. W mocnych rysach dostrzegał coś niemal dzikiego, jakąś niezłomną, wewnętrzną siłę. W świetlistych oczach widział szczerość i żywą inteligencję. Gniew malujący się na jej twarzy, gdy rozprawiała się z „siostrzeńcem pana Clarka”, ostro kontrastował z czułym gestem, jakim obejmowała psa.

Ciekawe, niecodzienne połączenie.

Intrygujące.

Leon Kariakis poczuł nagle nieprzepartą chęć, żeby lepiej poznać Antonię Roberts. O wiele lepiej…

Jakiś wewnętrzny głos, którego nie był w stanie uciszyć, podpowiadał mu, że z tą dziewczyną mógłby przeżyć coś naprawdę niezwykłego. Gdyby zabrał ją do łóżka, to nie byłby po prostu seks. Nie chodziłoby o zwykłą przyjemność, którą się szybko zapomina. Mógłby dotknąć tajemnicy, którą skrywała. Tej, która czyniła z niej kogoś wyjątkowego. Mógłby zatracić się w niej na zawsze…

Leon Kariakis zacisnął szczęki, gwałtownie pokręcił głową w niemym wyrazie frustracji i podjął niespokojną wędrówkę po salonie luksusowego penthouse’u zajmującego dwie najwyższe kondygnacje rezydencji.

Musiał do reszty zwariować. Albo może był chory? Dlaczego nie mógł się pozbyć obrazu panny Roberts, dlaczego jego myśli wciąż zaprzątał dylemat, jak wyglądałaby, gdyby rozebrał ją z tego niezbyt twarzowego uniformu konsjerżki? Wyobrażał sobie jej jasną skórę usianą piegami na dekolcie i poniżej… niemal widział zawadiacko sterczące piersi, dziewczęcą talię i cudownie rozłożyste biodra, których z pewnością nie lubiła. Może nawet usiłowała zrzucić parę kilo, jak wszystkie kobiety, które uważały, że mają za duży tyłek. Tyle że Antonia nie musiała niczego zmieniać. Nawet roboczy uniform nie zdołał ukryć tego, że jej krągłości były, no cóż, bardzo apetyczne.

Stanowczo, miał coś nie tak z głową.

Po pierwsze, Antonia Roberts zupełnie nie była w jego typie. Gustował w towarzystwie kobiet, które opanowały do perfekcji kody społeczne rządzące towarzystwem należącym do tak zwanych wyższych sfer. Na nieporozumienia, pomyłki i rozczarowania, a tym bardziej – na sceny pełne niepotrzebnych emocji po prostu nie miał czasu. Na szczęście nie brakowało pań, które spełniały jego kryteria. Pielęgnowały urodę, wdzięk i umiejętność lekkiej konwersacji w kilku językach. Nie były przesadnie pruderyjne i oczekiwały dokładnie tego samego, co on – niezobowiązującej rozrywki. Takie kobiety nigdy nie bywały konsjerżkami, najczęściej nie przepadały za zwierzętami – jeśli nie liczyć dziwacznych, mikroskopijnych niedopieskόw, którym, bywało, fundowały koloryzacje i pedicure, albo łysych kotów o wielkich uszach, które stroiły w obroże inkrustowane szlachetnymi kamieniami, ale Leon nie był pewien, czy te istoty, którym zresztą szczerze współczuł, można było jeszcze zaliczyć do grona zwierząt – i nigdy, przenigdy nie narażały na szwank swojej reputacji, zachowując się impulsywnie i głośno w obronie jakiejś przegranej sprawy.

Po drugie, Antonia sama należała do gatunku objętego ścisłą ochroną. Była zatrudniona w rezydencji, którą nabył. A Leon nigdy nie łączył życia towarzyskiego z pracą. Od tej reguły nie przewidywał żadnych wyjątków. Nie zamierzał pozwolić, by w jego uporządkowane życie wkradł się chaos.

Zresztą, czym się tak przejmował? Chyba tylko jakaś jarmarczna wróżka mogłaby przywiązać wagę do faktu, że obydwoje lubili psy i byli gotowi zaopiekować się opuszczonym, starym jamnikiem. On zapewni poczciwcowi spokojne schronienie, ona zrobi, co do niej należy, jeśli chodzi o codzienne potrzeby zwierzaka. A potem ich współpraca się zakończy. On zdecyduje, czy włączy tę nieruchomość do imperium, które budował, czy też odsprzeda ją, pomnażając kapitał. Tak czy owak, wyjedzie z Londynu za kilka dni. Ona zostanie tutaj, o ile tylko zechce. Zdążył się już przekonać, że pomimo swojej impulsywnej natury była kartą atutową Rezydencji pod Olchami. Mieszkańcy ją kochali, a ich zadowolenie przekładało się na zyski.

Jeśli chciał zadbać o to, żeby Antonia Roberts nie zrezygnowała z pracy w rezydencji, nie mógł sobie pozwolić na karygodny brak profesjonalizmu, jakim było choćby przelotne zainteresowanie jej wdziękami.

Cóż, łatwo powiedzieć. Niestety, miał oczy, które działały całkiem sprawnie, przekazując obrazy do mózgu. A sam widok Antonii Roberts powodował, że jego umysł stawał się bezradny wobec siły i przebiegłości czysto cielesnych, prymitywnych impulsów. To było nawet… ciekawe. Ale musiał wziąć się w garść. Polecił przecież konsjerżce, żeby pojawiła się w jego apartamencie za godzinę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Na miłość boską, jak można było mi nie powiedzieć?! – Tonia stanęła w drzwiach pomieszczenia służbowego, wciąż tuląc Kamyka do piersi. Gdyby nie to, że bała się przestraszyć psa, chyba po raz pierwszy w karierze rozdarłaby się na podwładnego.

– Przecież próbowałem. – Joel rozłożył ręce w geście bezradności.

Tonia oparła się plecami o chłodną ścianę pomieszczenia, odchyliła głowę w tył i odetchnęła głęboko.

– Wiem – przywołała się do porządku. To ona popełniła błąd, zwalanie odpowiedzialności na stażystę zupełnie nie było w jej stylu. – Przepraszam.

– Nie uważacie, dziewczyny, że ten facet jest boski? – Jess, młodziutka rudowłosa pokojówka, stała przed lustrem, starannie wiążąc wykrochmalony fartuszek, z którego wyplątywała się, gdy tylko miała choć pięć minut przerwy. – I wiecie, co? Chloe pracowała wczoraj na nocnej zmianie i przysięga, że widziała, jak jakaś piękność w typie modelki wychodzi z jego apartamentu, w pośpiechu, z włosami w nieładzie. Nieźle, co? Gość przyjeżdża do Londynu i już pierwszego wieczoru… Bara-bara…

– No i co w tym dziwnego? – rzuciła sucho Tonia, ignorując znacząco uniesione brwi młodszej koleżanki.

Wiadomość, że Leon Kariakis spędził wieczór w damskim towarzystwie, nie zaskoczyła jej ani trochę. I nie zrobiła na niej wrażenia. Najmniejszego. To było dość oczywiste, że mężczyzna o aparycji greckiego boga, a do tego zamożny niczym sam król Midas, nie żył jak mnich. Seks

był dla niego rozrywką i nie wątpiła, że tę rozrywkę lubił w luksusowym wydaniu. Była też przekonana, że mógł mieć każdą kobietę, którą zechciał. Przecież nawet ona, choć miała sporo spraw na głowie i zdecydowanie nie szukała kochanka, reagowała na niego jak ćma na płomień świecy. Był tak przystojny, tak męski, że patrzenie na niego stanowiło niemal bolesne doświadczenie.

– Faktycznie, nie ma w tym niczego dziwnego – Jess zaśmiała się. – Ten facet to nie lada ciacho. Gdyby tylko kiwnął na mnie palcem, zdjęłabym majtki przez głowę!

– Też coś…! – Tonia poczuła nagle, że rudowłosa dzierlatka, którą zawsze uważała za uroczą, niezmiernie ją irytuje.

– Ten facet to sztywny, zadufany w sobie dupek – prychnął Joel. – Zachowuje się jak jakiś pieprzony cyborg i to taki, który zadziera nosa, bo ma wrażenie, że jest kimś wyjątkowym.

Tonia zmilczała, choć miała wielką ochotę powiedzieć, że ktoś, kto może się pochwalić idealnie harmonijną muskulaturą, doktoratem obronionym z najwyższą notą oraz ogromnym sukcesem w biznesie, musi być chyba trochę wyjątkowy.

– Zobaczycie, ten cyborg da nam popalić – rozpędził się Joel. – Już zaczął rozstawiać nas po kątach, a George oczywiście…

Zarządca oczywiście nie zamierzał znaleźć się na pierwszej linii ognia, więc po prostu zniknął, to jest oddalił się w ważnych sprawach, niecierpiących zwłoki. To było dla niego typowe. Gdy wreszcie wracał do rezydencji, z zaaferowaną miną znikał w gabinecie, a ci, którzy mieli wątpliwą przyjemność z nim rozmawiać, nieodmiennie czuli od niego zapach alkoholu.

– Jak zwykle, poradzimy sobie bez łaski pana George’a – powiedziała Tonia dziarsko, po czym zerknęła na zegarek. – Ojej! Muszę lecieć. Pan

Kariakis życzy sobie widzieć mnie za dwadzieścia minut w swoim apartamencie, a najpierw koniecznie powinnam wyprowadzić Kamyka na spacer.

– Może powinienem pójść z tobą do Cyborga? Będzie ci raźniej… – zaoferował rycersko Joel.

– Dzięki, ale lepiej będzie, jeżeli zastąpisz mnie przy zbieraniu dzisiejszych zamówień. Z Cyborgiem sobie poradzę – uśmiechnęła się Tonia. Znała personel rezydencji na tyle dobrze, żeby wiedzieć z całą pewnością, że nowy właściciel właśnie dorobił się ksywki, która przylgnie do niego na stałe.

– Powodzenia! – zawołali za nią chórem, a kiedy wychodziła, odprowadził ją śmiech. Ona też się śmiała, aż do chwili, kiedy została sama. Podczas gdy Kamyk okrążał truchcikiem trawnik w ogrodzie rezydencji, zostawiając swój psi autograf na każdym napotkanym krzaczku, myślała o czekającej ją wizycie w apartamencie Kariakisa i czuła, że opuszcza ją odwaga.

A co, jeśli zastanie tam… jeszcze kogoś? Jakąś kobietę? Albo… kobiety? Od lat pracowała jako konsjerżka, miała już do czynienia z niejedną nietypową, potencjalnie żenującą sytuacją, i nigdy nie miała z tym problemu – po prostu trzymała się zasad regulaminu, traktowała ludzi z życzliwością, a ich dziwactwa i przywary – z poczuciem humoru. Teraz jednak, po raz pierwszy w karierze, trema dosłownie chwyciła ją za gardło.

Kiedy dwadzieścia minut później, z Kamykiem w ramionach i pchając przed sobą wózek pełen psich utensyliów, wysiadła z windy na najwyższym piętrze rezydencji, kolana miała tak miękkie, że z trudem dotarła pod drzwi apartamentu, który zajmował Leon Kariakis.

Uniosła dłoń do dzwonka i z autentycznym zdumieniem zapatrzyła się na własne palce, które dygotały jak w febrze.

Weź się w garść i po prostu wykonuj swoją pracę.

Nacisnęła przycisk i za zamkniętymi drzwiami rozległ się subtelny sygnał dzwonka stylizowanego na średniowieczny carillon. Przebrzmiał, jakby roztopił się w ciszy.

Minęła minuta. A potem następna.

Kamyk zaczął się wiercić, a w apartamencie wciąż panowała niezmącona cisza. Tonia drżącą ręką wstukała kod awaryjny i zamek ustąpił. Wystarczyło nacisnąć klamkę, a drzwi stanęły otworem.

– Przepraszam…? Panie Kariakis? – odezwała się, usiłując zapanować nad głosem.

Odpowiedziała jej cisza. Co miała zrobić? Zostawić Kamyka, jego posłanie, miski, karmę, szczotki i smycz w przedpokoju i po prostu się wycofać? Jeśli Kariakis faktycznie zasługiwał na miano cyborga, prawdopodobnie tego właśnie sobie życzył.

– Kamyk, leżeć. Dobry pies. Połóż się tutaj, na posłaniu. Połóż się – szeptała, układając psie legowisko w korytarzu. Ale jamnik, jak to jamnik, robił to, na co miał ochotę. Nieśpiesznie ruszył z holu odgrodzonego ażurowymi schodami od głównego salonu, zwiedzać nowy teren.

– Kamyk, ty dokąd? Wracaj! – Wypuściła z rąk metalowe miski, które z ogłuszającym brzękiem potoczyły się po ciemnych deskach podłogi, i ruszyła biegiem za psem. Jeżeli temu uparciuchowi coś strzeli do łba i narobi szkód, Kariakis na pewno odwoła swoją szczodrą ofertę i Kamyk zostanie bezdomny.

Jamnik, słysząc hałas, przyspieszył. Teraz cwałował z rozwianymi uszami przez ogromny salon, kierując się do uchylonych podwójnych drzwi z witrażowego szkła, za którymi – Tonia znała rozkład apartamentu na pamięć – znajdował się gabinet.

Rzuciła się za nim biegiem, po raz kolejny zachodząc w głowę, jak to możliwe, że stary pies, który w dodatku przypomina kiełbasę na króciutkich nóżkach, może pędzić z taką szybkością. Dogoniła go na progu gabinetu i właśnie w chwili, kiedy się schyliła, żeby pochwycić uciekiniera, sparciała gumka recepturka, którą tego ranka użyła do wykonania prowizorycznego upięcia włosów, pękła z cichym trzaskiem. Kaskada włosów spadła ciężkimi, splątanymi lokami na jej twarz, przesłaniając pole widzenia. Tonia omal nie wywinęła orła, a pies oczywiście uciekł. Pięknie, po prostu wspaniale. Czyżby wyleciało jej z głowy, że została zatrudniona do odegrania głównej roli w slapstickowej komedii? Jej występ na pewno zdobyłby poklask publiki.

Odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się w poszukiwaniu czegokolwiek, czym mogłaby je spiąć. Na idealnie uprzątniętym – bo jakżeby inaczej? – mahoniowym biurku, pod lampą z kloszem z zielonego szkła w stylu retro, leżał otwarty notes i długopis w srebrnej oprawce. Zwinęła włosy w węzeł i chwyciła długopis, a potem z wprawą wsunęła go w gąszcz loków, przytrzymując upięcie.

Uff, udał się. Pan Kariakis, nie bez kozery zwany cyborgiem, musiał gdzieś wyjść i niczego nie widział, a ona zaraz wszystko posprząta, porządnie ustawi, i…

– Przepraszam, ale o ile mnie wzrok nie myli, z pani włosów sterczy mój długopis. – Ciszę panującą w apartamencie przerwał głos, tyleż spokojny, co pełen bezgranicznego zdumienia.

Tonia znieruchomiała, a potem powoli podniosła głowę. To się nazywało mieć pecha. Oczywiście, pan Kariakis nigdzie nie wyszedł. A teraz, stojąc na szczycie schodów prowadzących na piętro, widział doskonale, jak Antonia Roberts po raz kolejny tego dnia robi z siebie konkursową idiotkę.

– Owszem. – Odruchowo sięgnęła do prowizorycznego upięcia. – Moja gumka pękła, więc musiałam…

– …przywłaszczyć sobie mój długopis?

Jego beznamiętny ton podziałał na nią jak płachta na byka.

– Rozumiem, że jest to jakiś nadzwyczajny długopis? Może czarodziejski? – spytała, parodiując słodki uśmiech.

– Otóż to, dostałem go na pamiątkę od czarnoksiężnika z Krainy Oz – wyraz twarzy Kariakisa pozostawał nieprzenikniony. – Pisze sam, i to bardzo szybko, o ile tylko wypowie się odpowiednie zaklęcie.

Gapiła się na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie ma to jednak żadnego znaczenia wobec faktu, że długopis należy do mnie, a pani zabrała go bez pytania. Takie postępowanie, o i ile się nie mylę, nazywa się kradzieżą.

– Przecież pan doskonale wie, że chciałam go tylko pożyczyć. Na moment! – Odruchowo uniosła dłoń, dotknęła opuszkami palców prowizorycznego upięcia. Leon Kariakis bez słowa zszedł ze schodów, stanął przed nią i wyciągnął rękę gestem nieznoszącym sprzeciwu.

– Mam go panu oddać? – Mimowolnie postąpiła krok w tył. – Teraz, od razu?

– Owszem, chciałbym go odzyskać, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Serio? Tyle zamieszania o jeden długopis? No ale w sumie, czego innego spodziewać się po Cyborgu?

– Oczywiście, proszę pana – powiedziała sztywno i wyciągnęła nieszczęsny długopis z włosów. Miała krępującą świadomość, że Kariakis przygląda jej się cały czas tym swoim niepokojącym, nieruchomym spojrzeniem, kiedy stało się to, co musiało się stać – jej niesforne włosy,

uwolnione z upięcia, rozsypały się niesforną grzywą, przesłaniając jej świat.

Bez słowa odgarnęła je z twarzy i wepchnęła za uszy. W milczeniu zrobiła w tył zwrot, pozbierała z podłogi psie miski, jedną napełniła wodą, do drugiej nasypała karmy, obydwie ustawiła obok psiego posłania, a na haczyku przy drzwiach wejściowych powiesiła smycz.

– Kamyk ma komplet wymaganych szczepień, jest odrobaczony i zabezpieczony przeciw pchłom i kleszczom – wyrecytowała. – O ile to nie będzie panu przeszkadzać, zostawiłabym też jego szczotkę, psi szampon i książeczkę zdrowia.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zawołała psa, który zainteresował się miską.

– Jest pani bardzo dobra w swoim fachu – odezwał się nagle Cyborg, typowym dla siebie beznamiętnym tonem, który przestał ją już dziwić.

– Oczywiście, że tak – skwitowała, unosząc głowę. Spojrzała mu prosto w oczy. To było nawet ciekawe, próbować wytrzymać jego wzrok i zrobić minę równie nieprzeniknioną, jak on. Nieśmiała nadzieja, że jednak nie straci pracy, wyraźnie poprawiła jej humor.

Nie skomentował. Przyglądał się psu. Kamyk obwąchał karmę, troszkę zjadł, wypił kilka łyków wody i odszedł. Długo węszył przy posłaniu, rozpoznał je, wszedł. Obrócił się kilka razy dookoła, jak robi każdy szanujący się pies przed drzemką, a potem zwinął się w kłębek, z głośnym sapnięciem ułożył łeb na przednich łapach i zamknął oczy.

Leon Kariakis ukląkł obok Kamyka i zaczął głaskać go po łebku.

– Nie masz apetytu. – W jego głosie pojawiła się ledwo dostrzegalna, cieplejsza nuta. – Jesteś wyraźnie przygaszony. Nos… jak tam twój nos, stary przyjacielu? Na szczęście w porządku, zimny i wilgotny. Chyba nie jesteś chory.

– Nie, nie jest chory. – Tonia uśmiechnęła się bezwiednie, przejęta jakąś nieznaną, upojną emocją. Co było jej źródłem? Czy fakt, że ten potężny mężczyzna, władający biznesowym imperium wartym setki milionów euro, dosłownie klęczał u jej stóp? Czy raczej sposób, w jaki przemawiał do Kamyka, i to, że stać go było na autentyczną troskę wobec obcego psiska? Mógł kazać się go pozbyć; dla wielu ludzi stary jamnik byłby tylko niepotrzebnie zawadzającym śmieciem. Ale nie dla niego. Po raz kolejny ją zaskoczył. Czuła się… zaintrygowana tym ekscentrycznym mężczyzną, jakim się okazał jej nowy pracodawca. – Kamyk to mądry, spokojny pies. Trochę uparty, jak to jamnik. A teraz po prostu jest zmęczony. I oczywiście tęskni za Haroldem. Może by się pan do niego uśmiechnął? W drodze wyjątku, bo domyślam się, że nigdy pan tego nie robi.

Leon Kariakis przestał głaskać psa i powoli podniósł się z klęczek. Kiedy się wyprostował, przeszył ją dreszcz. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy czuje lęk, czy fascynację. Był tak blisko. Górował nad nią, mroczny, poważny, nieprzenikniony.

Minęła minuta, potem kolejna. Cyborg był znowu Cyborgiem. Patrzył na nią beznamiętnym spojrzeniem i milczał, a jego twarz wydawała się pozbawiona wyrazu. Pewnie się nad czymś zastanawia, pomyślała Tonia, bliska paniki. Jeśli coś już o nim wiedziała, to że nigdy się nie spieszy, kiedy ma jakąś sprawę do rozważenia. Och, był o wiele za bardzo poważny. I zdecydowanie zbyt przystojny.

– Mam mu pokazać zęby? – odezwał się wreszcie. W jego cichym, miękkim głosie, wibrującym niskimi nutami, była jakaś dzikość. – Nie sądzę, żeby takie zachowanie było wskazane wobec samca gatunku, w którym płynie wilcza krew.

Nie odpowiedziała, wsłuchana w echo jego głosu. Czuła, jak ta niska wibracja przenika ją, budząc gdzieś w głębi ciała nieoczekiwaną

odpowiedź. Jej kobiecość zaczęła pulsować gorącą obietnicą rozkoszy…

Och, co to, to nie. Nie mogła pozwolić sobie na słabość, a zwłaszcza na tego rodzaju słabość. I to wobec mężczyzny, który był jej pracodawcą!

Nieoczekiwana reakcja jej ciała wzbudziła w niej gniew. A kiedy była wściekła, szła na całość.

– Cóż, nie będę się z panem sprzeczać, szefie – zaszczebiotała. – Jestem pewna, że na pewno dogadacie się z Kamykiem. Jak bracia wilcy!

W odpowiedzi zmierzył ją tym swoim mrocznym, nieodgadnionym spojrzeniem. Poczuła się wobec niego tak bezradna, jakby usiłowała zmusić do reakcji górę.

– Muszę już iść. – Spuściła wzrok. – Mam mnóstwo pracy. Kamyk był na spacerze, teraz powinien spokojnie spać do rana. Na pewno nie będzie panu przeszkadzał.

Zrobiła w tył zwrot i wymaszerowała z apartamentu. Jamnik popatrzył za nią, ale bez niepokoju. A potem sapnął, zamerdał ogonem, umościł się wygodniej na posłaniu i zapadł w sen.

Leon Kariakis stał jeszcze chwilę nieruchomo, patrząc na psa. Zwalczył pokusę, by wziąć go na ręce i wtulić twarz w ciepłą sierść, poczuć bliskość żywego stworzenia, choć na chwilę zapomnieć o samotności. O biznesplanie, którego trzeba było się trzymać. O rodzinie, której wciąż musiał udowadniać, że jest coś wart. Kamyk zasnął spokojnie, a on zmusił się, by wrócić do gabinetu i usiąść za biurkiem. Włączył laptop i zaczął przeglądać dokumenty. Sam nie wiedział, ile czasu wpatrywał się w ekran, zanim dał za wygraną, i, przeklinając pod nosem, zatrzasnął urządzenie. Z raportów, zestawień i bilansów, które właśnie przeczytał, nie zapamiętał kompletnie niczego. Był rozkojarzony, co nigdy mu się nie zdarzało. Nie, to nie tak; był skupiony, tylko zupełnie nie na tym, co trzeba. Usiłował

zanalizować księgę przychodów i rozchodów rezydencji, ale oczyma duszy widział jedynie Antonię Roberts. Chciał wyrobić sobie opinię na temat sposobu zarządzania nieruchomością, liczby pracowników na etacie i organizacji pracy, ale w pamięci miał tylko ciemnozłote refleksy tańczące w gęstwinie kręconych włosów Toni, jej kremową, niewiarygodnie delikatną cerę i świetliste oczy, gniewne, rzucające mu buntownicze wyzwanie.

Nie chciała go. Albo raczej – nie chciała go chcieć. Nie była łatwą zdobyczą i to właśnie sprawiało, że nie był w stanie przestać o niej myśleć.

Litery i cyfry skakały mu przed oczami, za to zdawało mu się, że jej jasne, nagie ciało dostrzega zupełnie wyraźnie. Że widzi ją, leżącą na wielkim łożu w jego sypialni; cudownie zmysłowy kształt na tle ciemnej pościeli. Hojnie zaokrąglone biodra, wąziutka talia, zawadiacko sterczące dziewczęce piersi i te dzikie włosy, przykrywające poduszkę niby wznosząca się nad nią burzowa chmura. Usta, w których grymasie wciąż widział bunt, ale był pewien, że pocałunkami zdołałby zetrzeć tę zaciętość i rozchyliłyby się dla niego w bezwiednym uśmiechu zmysłowej ekstazy.

Jak oparzony zerwał się z fotela i wielkimi krokami opuścił apartament. Musiał oczyścić umysł.

Na dworze było już ciemno. Spokojne, obsadzone drzewami uliczki urokliwej dzielnicy Mayfair mieniły się światłami latarni, a na każdym rogu niewielkie knajpki kusiły ciepłym oświetleniem, miłym dla oka wystrojem i apetycznymi woniami. Ciepły wieczór zachęcał do spacerów; na eleganckich, kamiennych chodnikach, na skwerach i w ogródkach kawiarnianych pełno było ludzi. Leon ruszył przed siebie szybkim krokiem. Kamyka ze sobą nie zabrał, choć nie pogardziłby psim towarzystwem, stwierdził jednak, że staruszek nie dotrzyma mu tempa, zresztą jamnik smacznie spał i nie było sensu go budzić. W normalnych okolicznościach

Leon zacząłby się pewnie rozglądać za lokalem, w którym miałby chęć zjeść kolację, bo pora robiła się późna, ale nie tym razem. Zamierzał błądzić po ulicach Londynu tak długo, aż wreszcie zgubi gdzieś to napięcie, które szarpało mu wnętrzności. Bo na to, że zapomni choć na chwilę o Antonii Roberts, nawet nie liczył. Ta drobniutka kobietka, której chyba nawet nie można było nazwać urodziwą, stałą się jego obsesją. Zawsze szczycił się tym, że w każdych okolicznościach kontroluje się z żelazną konsekwencją. A teraz? Kiedy myślał o Toni, nie potrafił zapanować nad podstawowymi reakcjami swojego ciała.

Co było z nim nie tak? Pewnie zbyt długo żył jak mnich. Może powinien był okazać się bardziej gościnny wobec dziewczyny, która zapukała do jego drzwi poprzedniego wieczora? Nie żądała wiele, miała po prostu ochotę na jedną szaloną, niezobowiązującą noc.

Tyle tylko, że on nie szukał kobiety na jedną noc. Z doświadczenia wiedział, że te przygody przebiegają zawsze według tego samego scenariusza i, prawdę mówiąc, był nim szczerze znudzony. Najpierw należało zrobić pozytywne wrażenie, rzucić w rozmowie kilka słów-kluczy, żeby upewnić dziewczynę, że trafiła na właściwą osobę – zamożnego gościa z klasą, który nowoczesny randkowy savoir-vivre miał w małym palcu. Gdy akcja przeniosła się już do sypialni, trzeba był okazać się kochankiem biegłym w sztuce miłości i przestrzegającym zasad antykoncepcji. A kiedy emocje opadły, wypadało modlić się do wszystkich bogów, żeby towarzyszka minionej nocy pożegnała się jak najszybciej, bez oczekiwań, wymagań i dramatycznych scen. Kobiety, które znały reguły gry, zazwyczaj nie robiły kłopotu. Znikały z jego życia tak sprawnie i bezproblemowo, jak się w nim pojawiły. Każda kolejna przygoda wpisywała się w ten sam schemat. Leon nigdy nie czuł powołania do życia w celibacie, ale ta powtarzalność odbierała miłosnym przygodom cały

smak. Pragnął czegoś nowego. I, kuriozalnie, to „coś nowego” przybrało teraz w jego głowie bardzo konkretną postać – drobnej, zadziornej kobietki o niewyparzonym języku i wielkim sercu. Skoro nie mógł jej mieć, cóż, noce będzie spędzał samotnie i pogodzi się z tym. Istniały inne sposoby na rozładowanie napięcia. Basen, jogging. A może też – spacery z psem? Wszystko było dobre, byle tylko zapomnieć o Antonii Roberts.

Zatopiony w myślach, ani się obejrzał, aż zabrnął do centrum dzielnicy. Mimo późnej pory pasaż handlowy tętnił życiem. Otwarte sklepy zapraszały, kolorowe wystawy przyciągały wzrok… Powiódł nieobecnym spojrzeniem wzdłuż oświetlonych okien i nagle przeszył go gwałtowny dreszcz. Zanim zrozumiał, na co patrzy, poczuł, że wyostrzają mu się wszystkie zmysły, jak łowcy, który trafił na trop zwierzyny. W wysokim prostokącie sklepowej witryny, na tle kolorowych półek, wyraźnie dostrzegał drobną, smukłą postać Antonii.

No, ładnie. Wprost znakomicie. Jego obsesja robiła się groźna, skoro zaczynał mieć zwidy…

Bezwiednie ruszył w stronę sklepu, nie spuszczając wzroku z drobnej postaci, która uwijała się za ladą, obsługując klientów. Kiedy od wejścia do sklepu dzielił go krok, usłyszał jej głos, pełen werwy, życzliwości i iskierek humoru. Cóż, jeśli cierpiał na omamy, były one nie tylko wzrokowe, ale też i słuchowe, bo drobna postać mówiła głosem Antonii.

Jeśli natomiast był zdrów, to mogły istnieć dwa wyjaśnienia zjawiska, które obserwował. Pierwsze – że Antonia Roberts ma siostrę bliźniaczkę, która pracuje w maleńkiej księgarni oferującej wieczornym spacerowiczom czytadła, prasę, papeterię, upominki i pocztówki. A drugie, że Antonia Roberts we własnej osobie, tuż po zakończeniu ośmiogodzinnego dnia pracy w Rezydencji pod Olchami, staje za ladą w kiosku o nazwie „Książki i wstążki”, i właśnie pomaga zaaferowanej klientce w kostiumiku

bizneswoman wybrać upominek i okolicznościową kartkę, by zrobić przyjemność pewnej starszej damie. Wszedł do sklepu, stanął nieco z boku. Poczekał, aż klientka, dziękując wylewnie, zabierze gustownie przyozdobioną paczuszkę i, z uśmiechem czystej satysfakcji na twarzy, opuści sklep. A potem podszedł do lady.

– Panno Roberts?

Och, to z całą pewnością była ona, nie żaden jej sobowtór. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Zresztą, nawet nie próbował. Nie miała już na sobie tego niezbyt twarzowego uniformu konsjerżki rezydencji; teraz była ubrana w czarną princeskę w stylu retro, z białą koszulką w czarne grochy. Koszulka miała grzeczniutki dekolt ozdobiony okrągłym kołnierzykiem i marszczone krótkie rękawki, a wąska spódnica, kończąca się powyżej kolan falbanką, ukazywała nogi, które były niemal dokładnie takie, jak sobie wyobraził. Szczuplutkie, o ładnie zaokrąglonych łydkach i wąziutkich kostkach. Leciuteńko krzywe, co, z niezrozumiałych powodów, przydawało im diabelnej seksowności. No cóż, skoro Antonia Roberts potrafiła wyglądać kobieco nawet w nieforemnych portkach i zbyt obszernej koszuli, to nic dziwnego, że w kiecce robiła piorunujące wrażenie.

Dostrzegł wyraźnie moment, kiedy na jego widok jej źrenice się rozszerzyły. To było tak, jakby przeskoczyła między nimi iskra. Nagłe wyładowanie czystej energii wyzwolonej przez wzajemne pożądanie. Zaraz jednak Antonia zacisnęła usta w wyrazie niemiłego zaskoczenia.

– Co pani tutaj robi? – wyrwało się Leonowi. Zupełnie jakby był ostatnim przygłupkiem.

– Chyba widać? – Panna Roberts nawet nie próbowała ukryć rozdrażnienia. – Pracuję.

– Przepracowała pani już dziś cały dzień – powiedział, marszcząc brwi.

– Nigdy nie widział pan osoby, która pracuje na więcej niż jeden etat? – rzuciła z błyskiem wściekłości w oczach. – Jestem pewna, że panu też się zdarza pracować długie godziny – dodała, robiąc wyraźny wysiłek, żeby stłumić rozdrażnienie. Ale zmęczenia w oczach ukryć nie zdołała.

– Jest pani wykończona – zauważył. – Każdy byłby po czternastu godzinach pracy.

– Ależ, co też pan? – wydęła usta, parodiując wyraz pobłażliwego zdumienia. – Jak tylko tu skończę, to ruszam w miasto. Wieczór bez clubbingu to wieczór stracony!

– Och, to się wyśmienicie składa – niemalże się uśmiechnął – bo ja, jak pani wie, jestem nowy w mieście. Nie mam pojęcia, gdzie tu się można dobrze zabawić. Proszę zabrać mnie ze sobą, pokazać, co i jak. Będę szalenie wdzięczny.

Kiedy rozchyliła usta, zrozumiał, że wpadł po uszy. Pożądanie przeszyło go nagle, niemal boleśnie, jak dźgnięcie ostrogą. Nie miał żadnej kontroli nad tym, co się z nim działo, gdy patrzył na tę drobną kobietkę. Jak to możliwe? Przecież zupełnie nie była w jego typie.

– Och, no więc, ja… – zaplątała się, spłoszona. Obserwował, jak rumieniec delikatnie zabarwia jej fascynującą twarz. Nos miała zbyt szeroki, by móc obiektywnie nazwać ją chociażby ładną. Wydatne usta, które, jak już wiedział, lubiły się krzywić w grymasie dezaprobaty, gdy chodziło o jego osobę, i wyraziste oczy, które nie umiały ukrywać emocji… tak, zdecydowanie, wpadł po uszy.

Zerknęła na zegarek, a potem na drzwi. Widział malującą się na jej twarzy rozterkę. Jeśli wierzyć informacji na tabliczce przy wejściu, sklep miała zamknąć za pięć minut. Mógł poczekać.

– Lubi pani tę pracę? – zagadnął, żeby odwrócić jej uwagę od upływającego czasu.

– Tak, to miłe miejsce.

– Lepiej się tu pracuje niż w rezydencji? – drążył. Czyżby chciała zrezygnować z etatu konsjerżki? To byłoby wielce niefortunne. Wystarczyło kilka godzin, a już zaczął ją cenić i to pomimo błędu, który popełniła na dzień dobry. Ale jeśli znalazła już sobie inną pracę, to czy mógł mieć pewność co do jej zaangażowania? To była nowa zmienna i to taka, która zaniepokoiła go nie na żarty.

– Tego na pewno bym nie powiedziała – zaśmiała się, a on doznał niezmiernej ulgi, słysząc jej śmiech. – Cenię sobie relacje, które nawiązuję z mieszkańcami rezydencji. Tutaj, cóż… ludzie wchodzą i wychodzą, a ja podaję towar i inkasuję należność. Zresztą, pracuję w tym sklepie tylko na pół etatu, biorę wieczorne zmiany. Trzeba przyznać, że ładny mają asortyment.

– I dlatego podjęła tu pani pracę? Bo oferują rzeczy, które się pani podobają?

Znowu się zaśmiała, a on nie był w stanie oderwać wzroku od jej ust.

– Gdyby tylko o to chodziło, to po prostu robiłabym tu zakupy.

– A więc chodzi o pieniądze. – Zacisnął usta. Czyżby jej uposażenie w rezydencji było zbyt niskie? Będzie musiał to sprawdzić. Popierał cięcie kosztów, ale tam, gdzie mogło to przynieść realne zyski, a nie generować potencjalne straty. Osobiście dopilnuje, żeby Antonia Roberts była w pełni usatysfakcjonowana…

O mało nie zaklął w głos, kiedy jego myśli poszybowały w kierunku, który z pracą zawodową nie miał nic wspólnego.

Tonia opacznie zrozumiała jego marsową minę.

– Owszem, chodzi o pieniądze. – Uniosła podbródek, odsłaniając prześliczną, delikatną szyję. – Mam zobowiązania. Rodzinne. Jak większość dorosłych ludzi.

– Oczywiście – skwitował, choć czuł się zaskoczony. Panna Roberts nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. O jakiej rodzinie mówiła? O czyje utrzymanie musiała dbać? Chciał się dowiedzieć o niej… wszystkiego. Ale nie zapytał. Milczał. Cisza między nimi robiła się coraz cięższa, głuszyła gwar dochodzący z ulicy i sączący się z głośników, barokowy utwór na klawesyn, który miał umilać klientom wizytę w sklepie.

Tonia poczuła, że ma dość. Jakim prawem ten facet wtargnął w jej życie i teraz stał tutaj, przeszywając ją tym swoim nieruchomym spojrzeniem cyborga? Ona była w pracy i, o ile nie zamierzał nic kupić, nie miał tu czego szukać.

– Czym mogę panu służyć? – rzuciła wyzywająco.

Nie odpowiedział. Nie poruszył się. Tylko kącik jego ust drgnął, jakby w zapowiedzi drapieżnego uśmiechu.

Gdy dotarł do niej cały sens niezamierzonej dwuznaczności tego, co powiedziała, policzki zapiekły ją nagle, niemal boleśnie. Musiała się zrobić czerwona jak burak! Zagryzła wargi, ale nie potrafiła powstrzymać myśli, gdy poszybowały w kierunku, który z pracą zawodową nie miał nic wspólnego…

– Nie wszedłem tu po zakupy. – Cień uśmiechu zniknął z twarzy jej rozmówcy. – Chciałem tylko sprawdzić, czy to naprawdę pani.

– Tak, to naprawdę ja – wyszeptała, nie spuszczając wzroku. Cisza wchłonęła jej słowa i ich całe niedopowiedziane znaczenie, którego oboje mogli się tylko domyślać.

– Tylko uniform inny – zauważył, siląc się na swobodny ton.

– Trochę inny – zgodziła się, bezwiednym ruchem wygładzając sukienkę. – Ale też czarny. Pracodawcy widocznie dbają o to, żebym w każdej chwili była gotowa spocząć w trumnie…

– To chyba zbytnia przezorność. – Jeśli rozśmieszył go jej żart, nie pokazał tego po sobie. – Jeśli chciałbym coś kupić, co by mi pani poleciła?

– Serio pan pyta?

– A co? Uważa pani, że nie stać mnie na zakupy w tym sklepie?

– W porządku. – Stanęła za ladą, rozciągnęła usta w parodii grzecznego uśmiechu. – Wiem, że na pewno nie potrzebuje pan nowego długopisu. A skoro ma pan czym pisać… polecam nasze notatniki. Papier znakomitej jakości, okładki w najrozmaitsze wzory, trafią w każdy gust. Są też notesy oprawione w skórę, w sam raz dla kogoś z pańską pozycją. Wszystkie są poręczne, luksusowe i eleganckie.

– Poręczne, luksusowe i eleganckie notatniki – powtórzył powoli, z przesadnym namaszczeniem.

– A żeby pan wiedział – udała, że nie słyszy nutki szyderstwa w jego głosie. – Sama używam jednego z nich.

Notes rozmiarów grubego zeszytu, który leżał na ladzie obok kasy, miał okładkę o trudnej do zdefiniowania barwie, ni to bladoróżowej, ni to złotorudej. Na tym tle delikatna grafika ukazywała wschód księżyca i filigranowe sylwetki żurawi na odległym brzegu jeziora. Faktycznie, musiał przyznać, że była to ładna rzecz.

– Dlaczego kobiety tak kochają notatniki? – zastanowił się na głos. – Czy w chwilach, gdy w sklepie nie ma klientów, przelewa pani na papier swoje skryte tęsknoty i pragnienia?

Pytanie mogłoby się wydawać bezczelne, gdyby nie to, że zostało zadane rzeczowym, poważnym tonem, który miał w sobie nutę szczerej, dziecięcej ciekawości.

– Niestety, w moim notatniku niczego takiego by pan nie znalazł – uśmiechnęła się, sama zdziwiona odruchem sympatii, jaki nagle wzbudził w niej nieprzystępny Cyborg. – Widzi pan, ja mam coś takiego, że

chronicznie zapominam o różnych rzeczach. Jestem straszną bałaganiarą i mam problemy ze skupieniem uwagi. Właściwie od zawsze.

– Tak? – Przysunął się bliżej, a z jego twarzy nie znikał wyraz autentycznego zaciekawienia. – I jak pani sobie z tym radzi? Wydawałoby się, że żeby pracować na pani stanowisku, i w dodatku robić to dobrze, trzeba mieć komputer w głowie…

– Mnie wystarczy notes. Codziennie spisuję najrozmaitsze listy. Listę rzeczy ważnych, listę spraw pilnych. Listę zadań związanych z ogólnym funkcjonowaniem rezydencji, listę życzeń każdego z mieszkańców. I tak dalej. A potem regularnie sprawdzam i odhaczam rzeczy załatwione. Gdyby nie mój notes, już dawno pogubiłabym się w rzeczywistości.

– Wszystko robi pani według listy? – Zmierzył ją spojrzeniem, którego nie potrafiła rozszyfrować.

– Właściwie, to… tak – przyznała po namyśle.

– A co z posiłkami? Znajdują się na liście?

– Każdy z mieszkańców rezydencji ma własną kuchnię, może zamówić zakupy z dowozem albo catering – wyrecytowała niczym wzorowa uczennica.

– Miałem na myśli panią.

– Co takiego? – Zamrugała, wyraźnie zbita z tropu.

– Rozumiem, że własnych posiłków nie umieszcza pani ani na liście spraw pilnych, ani na liście rzeczy ważnych. – Pokiwał głową. Czy jej się zdawało, czy też naprawdę usłyszała w jego głosie jakąś cieplejszą nutę? – Czy pozwoli pani, żebym zaprosił ją na kolację?

– Ja…

– Przyszła tu pani prosto z rezydencji. Pracuje pani od czternastu godzin. Proszę nie mówić, że nie jest pani głodna, bo nie uwierzę.

Takich wieczorów przeżyła już setki. Zamykała kiosk, wracała do domu, niemal na autopilocie, wyuczoną drogą. Wchodziła pod prysznic, przebierała się w miękką wygodną piżamę. Potem robiła sobie miskę sałaty i półlitrowy kubek ziołowej herbaty albo otwierała butelkę imbirowego piwa. Włączała jakiś serial. Kiedy czterdziestominutowy odcinek się kończył, odnosiła puste naczynia do zlewu, sprzątała, myła zęby i kładła się spać. Kolacja w restauracji, w towarzystwie milionera? To brzmiało jak bajka.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. – Pokręciła głową. – Pracownica nie powinna przyjmować osobistych zaproszeń od pracodawcy.

– Nawet jeśli chodzi po prostu o wspólny posiłek? – Wyglądał na autentycznie zdziwionego. – Jeśli nie czuje się pani komfortowo, proszę potraktować to jak spotkanie służbowe. Pójdziemy do jakiejś dobrej restauracji, usiądziemy przy stoliku, zamówimy coś smakowitego. I porozmawiamy o rezydencji; muszę wiedzieć wszystko, a jestem pewien, że od pani dowiem się najwięcej. Może pani spokojnie pozwolić sobie na niedyskrecje, nie zdradzę źródła informacji – dodał z namaszczeniem.

– Słucham? – Spojrzała na niego oczami okrągłymi jak spodki.

– Dobrze pani słyszała. Zabieram panią na kolację, jak tylko zamknie pani sklep.

– Ale…

– Ale sama pani dziś przyznała, że nie ma nic przeciwko łamaniu głupich zasad. – Wycelował w nią palcem, a w jego głosie pobrzmiewała satysfakcja człowieka, który szykował się do zadania mata w skomplikowanej szachowej rozgrywce. – A zakaz wspólnego stołowania się dla osób pracujących na różnych szczeblach w jednym biznesie to jest bardzo głupia zasada, nie sądzi pani? Zresztą, nie zabawię długo w rezydencji. Zbiorę szczegółowe informacje, zoptymalizuję system

zarządzania nieruchomością, znajdę porządnego dzierżawcę i więcej już nie będę się tu kręcił. Zajmę się kolejną inwestycją. Prawdopodobnie nigdy więcej mnie pani nie zobaczy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pokiwała głową. Nie mógł wyrazić się jaśniej. Nie chodziło mu o nic poważnego, po prostu o jeden wieczór. Potem, tak czy siak, planował zniknąć.

A ona chciała zrozumieć. Zatrzymać go, choćby na chwilę, sprawić, żeby odsłonił przed nią karty.

– Nie tęskni pan za stabilizacją? Nie chciałby pan osiąść gdzieś na stałe?

Zmarszczył brwi, jakby po raz pierwszy zastanawiał się nad tak zadanym pytaniem.

– Nie czuję takiej potrzeby – orzekł wreszcie. – Lubię przede wszystkim wyzwania. Lubię tę chwilę, gdy mierzę się z czymś nieznanym. Potem, kiedy już pokonam wszystkie przeszkody, zdobędę to, czego chcę… to zaczynam się nudzić. I szukam kolejnego wyzwania. Ale to chyba nic złego, prawda? W ten sposób poszerzam działalność.

…i powiększam zbiór byłych kochanek – mogłaby dodać. Szła o zakład, że gdy Leon mówił o wyzwaniach, nie miał na myśli tylko pracy zawodowej.

– Ach, więc szybko się pan nudzi – rzuciła.

– Niewykluczone – przyznał. – Lubię mieć wyznaczony cel. I pokonywać przeszkody na drodze do niego.

– A nie chciałby pan, tak raz na jakiś czas, po prostu pójść na plażę, położyć się na ciepłym piasku, wsłuchać w szum morza i przez kilka godzin

nie robić absolutnie nic?

– Nie wiem. – Rozłożył ręce. – Nigdy nie próbowałem.

– Co takiego?! – Zrobiła wielkie oczy. Przecież był spadkobiercą dynastii Kariakisów, twórców greckiego imperium hotelarskiego. A gdzie można spędzić bardziej leniwe i beztroskie wakacje nad morzem niż w Grecji? – Ale, tak w ogóle, to jeździ pan czasem na wakacje?

– A pani? – zręcznie odbił piłeczkę.

– Ja nie mogę. Mam zobowiązania. I, póki co, nie zarabiam aż tyle, by móc sobie pozwolić na ekstrawagancje. Ale pan jest człowiekiem sukcesu. Po co ciężko pracować na sukces, gdy nie daje się sobie czasu, żeby się nim rozkoszować?

– Hm.

Tonia schyliła głowę, żeby nie zauważył jej rozbawionego uśmiechu, kiedy znów na długą chwilę zamilkł, analizując w skupieniu jej pytanie.

– To nie tak. Po prostu lubię gimnastykować umysł. Fakt, że jestem w stanie przy okazji sporo zarobić, zupełnie mi nie przeszkadza, ale pieniądze nigdy nie były celem samym w sobie. Gdybym nie zainteresował się finansami, zostałbym pewnie astronomem. Zresztą, astronomią zajmuję się hobbystycznie. Kupiłem latarnię morską w północnej Szkocji i zgromadziłem tam całkiem niezły sprzęt do obserwacji nieba. Robię też zdjęcia zorzy polarnej. Zjawisko jest niesamowite. Widziała pani…?

– Nie ma pan pojęcia, jak bardzo chciałabym to zobaczyć. – Oczy jej pociemniały, kiedy, zapominając o świecie wokół niej, zapatrzyła się we własne marzenia.

– Na pewno kiedyś pani zobaczy – usłyszała jego cichy, poważny głos i podniosła wzrok. Ich spojrzenia się spotkały i nagle nic już ich nie dzieliło – ani narodowość, ani status społeczny, ani zupełnie różne, życiowe drogi. Byli dwojgiem ludzi dzielących wspólną fascynację.

„Chwilo, trwaj” – przeleciało jej przez głowę. Poczuła się nagle wolna. I ważna. Jak jeszcze nigdy w życiu. W ciemnych oczach Kariakisa dostrzegała ciepłe, złote błyski. Nie bała się go. Już nie.

– Chyba może pani zamknąć sklep. – Leon spojrzał na zegarek, a potem na drzwi, przez które, na szczęście, nikt nie zamierzał wchodzić. – Chodźmy coś zjeść.

– Często pan tak robi? Czaruje jakąś nowo poznaną dziewczynę, a potem zaprasza ją na kolację?

– Proszę sobie wyobrazić, że niezbyt często. Szczerze mówiąc, robię to pierwszy raz. – Popatrzył na nią i zobaczyła, że jest bezradny wobec prawdy, którą właśnie wyznaje. Ona jednak nie mogła się wyzbyć nieufności.

– Przecież spotyka się pan z kobietami – rzuciła, kryjąc się za kontuarem.

– Kto tak twierdzi? – odpowiedział natychmiast, odbijając cios niczym szermierz.

– Nieważne.

– Skąd ma pani takie informacje?

– Pokojówka mówiła, że w nocy wychodziła z pańskiego apartamentu jakaś dziewczyna. – Słowa niemal uwięzły jej w gardle. Co ją podkusiło? Życie erotyczne Leona Kariakisa nie było jej sprawą. Mógł, jeśli chciał, uczcić pierwszą noc spędzoną w nowo nabytej nieruchomości spotkaniem z chętną, pełnoletnią osobą płci żeńskiej. Ona nie miała nic do tego.

– A więc w pomieszczeniu służbowym aż huczało od plotek? – domyślił się. W jego głosie pobrzmiewała nuta rozbawienia. – Plotkom nie zawsze trzeba wierzyć. Czy ktokolwiek widział tę… osobę… w moim towarzystwie?

Tonia nie odpowiedziała.

– Nie sądzę – kontynuował. – Bo pojawiła się pod moimi drzwiami, owszem, ale nie otworzyłem. Przyszła z niezapowiedzianą wizytą, a ja nie miałem ochoty na towarzystwo.

– Nie lubi pan takich niespodzianek? – Uniosła brwi. Po mężczyźnie, który był bosko przystojny i nieprawdopodobnie bogaty, spodziewała się większej swobody obyczajów.

– Mówiłem już, że lubię wyzwania. Nie lubię natomiast, gdy traktuje się mnie jak półgłówka. Mam taki brzydki zwyczaj, że skreślam osoby, które narzucają mi się, gdy sobie tego nie życzę. Szczerze mówiąc, gdy w grę wchodzą relacje międzyludzkie, zdaję się na instynkt. A ten jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

– Dobrze wiedzieć – skwitowała. Ona niestety nie mogła się poszczycić równie czujnym instynktem. Dlatego, z zasady, nie przyjmowała tego typu zaproszeń. Czemu Kariakis nie mógł po prostu sobie pójść? Naprawdę nie miał nic lepszego do roboty niż tkwić w kiosku z prasą i papeterią i stresować ekspedientkę, która wszak nie mogła przedstawiać sobą niczego interesującego dla takiego światowca i multimilionera? Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna.

– Jeśli nie jest pani pewna, czy ta wspólna kolacja to dobry pomysł, proszę spisać listę argumentów „za” i „przeciw”. Poczekam. Sam jestem ciekaw wyniku.

Boże drogi, co miała na to odpowiedzieć? Żeby ukryć zażenowanie, zaczęła machinalnie wykonywać wszystkie konieczne czynności, jak co wieczór, przed wyjściem ze sklepu. Pozamykała okiennice, zabezpieczyła kasę, uporządkowała rzeczy, których klienci nie odłożyli na miejsce. Gdyby miała rzeczywiście spisać listę, jak sugerował jej niewygodny gość, co umieściłaby w rubryce „za”?

Była naprawdę głodna i nie mogła sobie wyobrazić niczego bardziej rozkosznego niż wizyta w restauracji. Usiądzie – nareszcie usiądzie! – na jakimś wygodnym, miękkim krześle, a przed nią pojawi się smakowite danie… Wszystko jedno jakie, najlepiej ciepłe i pożywne.

Porozmawia o rezydencji z kimś, kto chyba potrafi docenić jej prawdziwą wartość, podobnie jak ona. Po latach użerania się z tępymi, pazernymi bucami z obecnego zarządu, będzie to naprawdę miła odmiana.

Spędzi wieczór inaczej niż zwykle. Nagle jej codzienna rutyna, którą przecież zdołała już polubić, wydała jej się beznadziejnie nudna. Cóż, Antonia Roberts była nijaką osobą, wiodącą nijaką egzystencję. Na co dzień była z tym pogodzona. Ale chyba nawet jej należał się od życia jeden wyjątkowy wieczór?

Co prawda, obiecała sobie, że nie będzie się zadawać z mężczyznami, ale ten tutaj chyba niczym jej nie zagrażał? Na pewno nie miał wobec niej żadnych… planów. Po prostu chciał porozmawiać o pracy. Przecież był Cyborgiem, czyż nie?

W rubryce „za” wpisałaby też możliwość spędzenia czasu z tym oryginałem. Interesował ją. Ba, fascynował. Fakt, że był niesamowicie przystojny, w niczym nie przeszkadzało.

Poza tym lubił psy i to właściwie przesądzało sprawę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– W porządku. – Wstukała kod włączający alarm. – Chodźmy. Chętnie porozmawiam o rezydencji.

– Wspaniale.

Otworzyła drzwi i oboje wyszli w mrok, rozproszony łagodnym światłem latarni i przesycony balsamicznymi woniami nocy. Słodki zapach róż, którymi obsadzono rabaty ciągnące się wzdłuż chodnika, mieszał się z wytrawną, korzenną wonią pożółkłych liści, które zaczynały już spadać z lip i kasztanowców, rosnących tu i ówdzie pomiędzy domami. Za dżentelmenem, który palił fajkę, snuła się smuga tytoniowego dymu, a z pobliskiej tureckiej knajpki dolatywał mocny aromat kawy.

Przez chwilę szli w milczeniu, niespiesznie. Kiedy podał jej ramię, bez namysłu splotła z nim swoje. Dlaczego czuła się tak dobrze w towarzystwie tego człowieka, którego przecież nie znała i który na pewno nie należał do jej świata?

Może właśnie dlatego, że przy nim, tego wieczora, ona sama miała wrażenie, jakby trafiła do innego świata? Antonia Roberts, którą znała, po pracy pędziła prosto do domu, szybko, z pochyloną głową. Nigdy nie dawała sobie czasu na to, żeby cieszyć się pięknem pogodnych, tętniących życiem wieczorów w tej uroczej dzielnicy. Teraz chłonęła nocne miejskie życie wszystkimi zmysłami. Czuła się trochę tak, jakby na ten jeden wieczór trafiła do zupełnie innej bajki, takiej, gdzie życie było beztroskie i pełne miłych niespodzianek. Co jeszcze się jej dzisiaj przydarzy?

Oczekiwanie przeniknęło ją przyjemnym dreszczem i nagle nabrała ochoty, by zacząć skakać po płytach chodnika jak mała dziewczynka.

– Chyba wiem, gdzie wstąpimy na kolację – odezwał się nagle Kariakis. – Jest tu niedaleko takie jedno świetne miejsce…

– Odniosłam wrażenie, że jest pan nowy w mieście i nie zna żadnych „świetnych miejsc” – rzuciła.

– Może przeszlibyśmy na „ty”? – Spojrzał na nią z ukosa, z wysokości swoich dwóch metrów.

– Ja na pewno nie… – zaczęła, ale jej przerwał.

– Tylko na ten wieczór, dobrze? Będzie się nam swobodniej rozmawiało. Leon jestem.

– Leon – powtórzyła ostrożnie, jak ktoś, kto po raz pierwszy wymawia magiczne zaklęcie, mające moc obłaskawienia potężnego dżina. – Antonia. To znaczy, Tonia.

– Miło mi. – Znów zapatrzył się w przestrzeń przed nimi.

– Mnie też. – Szli dalej, a Tonia uśmiechała się pod nosem na myśl, że muszą wyglądać oryginalnie. Mężczyzna, od którego aż biła aura zamożności, i sięgająca mu zaledwie do ramienia kobietka w stroju sprzedawczyni. Niektórzy przechodnie byli najwyraźniej podobnego zdania, bo oglądali się za nimi ciekawie. Czy powinna się czuć zażenowana? Może tak, ale było jej zdecydowanie zbyt wesoło i lekko na duszy, żeby się czymkolwiek przejmować.

Kiedy stanęli przed budynkiem ze starej cegły, który został odrestaurowany tak, że wyglądał jak konstrukcja wypełniona ciepłym, zapraszającym światłem, Tonia pokręciła głową.

– Tutaj? Nie ma mowy.

– Dlaczego nie? – W głosie Leona dało się słyszeć autentyczne zdziwienie.

– Bo to bardzo słynna restauracja. Tutaj stolik rezerwuje się z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Wiem, bo wielokrotnie załatwiałam to dla któregoś mieszkańców rezydencji.

– Naprawdę? – Uniósł brwi jak człowiek, który pierwszy raz w życiu słyszy o czymś takim, jak rezerwacja stolika w restauracji. – Na pewno gdzieś nas wcisną; dwie osoby nie zabierają przecież dużo miejsca – dodał niefrasobliwie i pchnął szklane drzwi wprawione w żeliwną ramę o secesyjnym wzorze.

Przeszła przez próg, robiąc dobrą minę do złej gry. Ostatnio czas oczekiwania na wolny stolik wynosił tu sześć miesięcy, a to w sumie dobrze się składało, bo tyle było trzeba pracować, żeby zarobić choćby na najmniejszą przystawkę w tej restauracji.

Maître d’hotel pospieszył im naprzeciw, omiótł jej roboczy strój spojrzeniem pełnym dezaprobaty, a potem skupił wzrok na mężczyźnie, który, zgodnie z wymogami kindersztuby, przepuszczał w drzwiach swoją towarzyszkę. Jego groźny grymas stopniał w jednej chwili, jak lód w promieniach tropikalnego słońca. Choć Leon nie powiedział ani słowa, srogi cerber zamienił się w uśmiechniętego, usłużnego gospodarza. Skłonił się i szerokim gestem zaprosił ich do środka. Tonia nie wierzyła własnym oczom, kiedy prowadził ich do stolika umieszczonego w dyskretnej wnęce, z dwóch stron otoczonej wykuszowymi oknami, za którymi rozciągał się subtelnie oświetlony ogród.

– Życzą sobie państwo coś do picia? – Przed nimi jak spod ziemi wyrósł kelner, młody blondas w nieskazitelnie białej koszuli i designerskim czarnym fartuchu sięgającym kostek.

– Może być szampan – zadecydował Leon. – Półwytrawny, najlepszy, jaki macie.

– Dla mnie lemoniada – powiedziała w tej samej chwili Tonia.

– Serio? Będziesz tutaj pić lemoniadę? – Potoczył wzrokiem po nowoczesnym wnętrzu, roztaczającym dyskretny urok nienachlanego, wysmakowanego luksusu. To była jedna z najlepszych i najdroższych restauracji w Londynie. Chyba rzeczywiście lemoniada to nie był dobry wybór.

– Jestem po całym dniu pracy i nie zamierzam pić alkoholu na pusty żołądek – ściszyła głos. – Będę wdzięczna za karafkę wody mineralnej. I kieliszek szampana.

Jeden kieliszek na pewno nie mógł jej zaszkodzić.

Kiedy przyniesiono napoje, uniosła do ust szklankę schłodzonej wody, która smakowała limonką, miętą i kwiatami czarnego bzu. Upiła łyk i dyskretnie rozejrzała się po sali. No, tak. Przy jednym ze stolików siedziała znana aktorka, przy innym – kontrowersyjny polityk. O ile wzrok jej nie mylił, dopatrzyła się też znanego ze skandali członka rodziny królewskiej.

Stanowczo trafiła do zupełnie innej bajki.

– Dziękuję za zaproszenie. – Odstawiła szklankę. Napój cudownie orzeźwiał. – To bardzo miłe z pana… z twojej strony…

– Nie jestem specjalnie miłym człowiekiem – sprostował rzeczowym tonem. – Owszem, zaprosiłem cię na kolację, ale zrobiłem to z całkowicie egoistycznych pobudek. Po prostu potrzebowałem towarzystwa interesującej osoby, żeby chociaż na chwilę uciec przed żałosną samotnością, na którą jestem skazany.

– Och, więc twoje życie jest pasmem udręki? – Uniosła brwi. – Nigdy bym na to nie wpadła.

Zerknęła na niego spod rzęs, ciekawa odpowiedzi, ale w tym momencie pojawił się kelner.

– Czy mogę przyjąć zamówienie?

– Chętnie spróbujemy wszystkiego, co poleca szef kuchni.

– Wszystkiego? – zdumiała się Tonia.

– Porcje nie są tu duże – wyjaśnił. – Za to bardzo kunsztownie przyrządzone.

– Tak jest, proszę pana. – Kelner zanotował zamówienie. – Zaręczam, że nie pożałują państwo wyboru.

Kiedy z westchnieniem błogiej ulgi opadła na miękkie, wysokie oparcie fotela, przez chwilę przyglądał jej się z uwagą.

– Pracujesz ponad siły, nie dojadasz, nie dosypiasz. – W jego głosie nie było pytania, po prostu stwierdzał fakt, nie musiała więc zaprzeczać ani potwierdzać. Uniósł do ust kieliszek szampana, więc ona zrobiła to także i umoczyła wargi w jasnozłotym, musującym napoju. Znawczynią alkoholi w ogóle nie była, raz na nigdy zdarzało jej się wypić piwo albo lampkę wina. Ale żeby docenić smak tego trunku, nie trzeba było znawcy. W każdym maleńkim łyku kryła się opowieść o życiu, które rodziła rozgrzana słońcem płodna ziemia. Nie trzeba było znawcy, żeby poczuć od razu, że każdy łyk jest celebracją piękna tego świata. Tonia uśmiechnęła się, rozmarzona. Może to było głupie i naiwne, ale tego wieczora miała ochotę zapomnieć o obowiązkach, a nawet o zdrowym rozsądku, i po prostu świętować. Jej życie tak rzadko bywało beztroskie, że gdy los robił jej niespodziewany prezent, nie mogła go odrzucić.

– Dlaczego tak dużo pracujesz? Jeśli pensja w rezydencji nie wystarcza ci na utrzymanie, chcę to wiedzieć.

– Na pensję nie narzekam. Po prostu jestem w takiej sytuacji, że każdy grosz się liczy. A poza tym jestem młoda, zdrowa i lubię pracować – powiedziała lekko.

– Oszczędzasz na jakiś konkretny cel? – Pochylił się nad stolikiem, odnalazł jej wzrok. – O czym marzysz? O podróży dookoła świata? A może

o własnym domu z ogródkiem?

– Och, nie. – Pociągnęła kolejny łyk szampana, roześmiała się. Wszystkie troski i kłopoty były teraz daleko. Tak bardzo daleko… – Marzę o tym, żeby moja siostra skończyła szkołę średnią, dostała się na wymarzone studia i mogła się skupić na nauce, dopóki nie stanie na nogi.

– Utrzymujesz siostrę? – Jego spojrzenie, jak zwykle nieodgadnione, stało się bardziej intensywne. – Nie macie… innej rodziny?

– Nie. Możemy liczyć tylko na siebie. Ofelia jest niesamowicie zdolna. Chce studiować fizykę, zostać naukowcem…

– Antonia i Ofelia? – Uniósł brew.

– Dokładnie tak. Mama była wielką romantyczką. – Tonia miała szczerą nadzieję, że nie odziedziczyła tej zgubnej skłonności po rodzicielce.

– Co się stało z twoimi rodzicami? – spytał cicho, nie spuszczając z niej wzroku.

Zamierzała powiedzieć, że nie chce już grać z nim w dwadzieścia pytań, ale powaga w jego spojrzeniu skłoniła ją do wyznania prawdy.

– Taty prawie nie pamiętam. Kiedy w domu pojawiła się malutka Ofelia, jego już nie było. Mama… umarła niedawno.

– Musiało ci być bardzo ciężko.

Było ciężko – kiedy mama gasła w oczach, powoli przegrywając nierówną walkę z nowotworem, potem, kiedy nie było już nadziei na to, że pomoże jej jakiekolwiek leczenie. I wreszcie, gdy nie pozostało już nic do zrobienia, a kwiaty na jej grobie zaczynały więdnąć. Tak, było bardzo ciężko, ale nie chciała się nad tym rozwodzić. Nie tutaj, nie teraz.

– Jakoś przeżyłam – powiedziała wymijająco. Przeżyła nie tylko to. Kilka miesięcy po śmierci mamy poznała kogoś. To miała być miłość aż po grób, piękna, romantyczna, pełna ideałów. Okazała się katastrofą, która pozostawiła ją okaleczoną na zawsze. Straciła zaufanie do mężczyzn. I, co

gorzej – do siebie samej. Teraz była ostrożna aż do przesady. Dmuchała na zimne.

Więc co, u diabła, robiła w restauracji, na którą nigdy w życiu nie byłoby jej stać, i to w dodatku w towarzystwie greckiego multimilionera? Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. A może raczej – nie chciała?

– Och! – Niewesołe myśli rozpierzchły się, kiedy pojawił się kelner. A raczej cały ich zastęp. Nie minęła chwila, a stolik zastawiono talerzami, talerzykami, półmiskami, salaterkami, miseczkami i sosjerkami. – To wygląda… niewiarygodnie!

Porcje były rzeczywiście niewielkie, ale potrawy przypominały dzieła sztuki.

– To co? Bierzemy się do dzieła? – Leon zatarł ręce, zaciągnął się apetycznym zapachem potraw. Tonia wpatrywała się w talerze jak zahipnotyzowana. A potem zaczęli jeść.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dziwna różowa piramidka, spoczywająca na wachlarzu liści, otoczonych niczym malunkiem smużką ciemnego sosu i udekorowanych czymś puszystym i jasnozielonym, okazała się tatarem z łososia na liściach rukoli, z musem z twarożku, bazylii i kaparów. Była też pikantna sałatka z marynowanych strączków młodziutkiej zielonej fasolki, z prażonymi migdałami, suszonymi pomidorami i ziołowym dressingiem z nutami szalotki i bazylii, podana na grzankach z gorącym, roztopionym kozim serem.

– I jak smakuje? – zagadnął Leon znad swojego talerza.

Przez dobrą chwilę nie była w stanie odpowiedzieć, usta miała zbyt pełne. Żuła, przełykała i miała wrażenie, że w tych czynnościach odnajduje sens życia.

– Nigdy nie jadłam czegoś tak doskonałego – odezwała się wreszcie. – Można umrzeć z rozkoszy!

– Jeszcze nie umieraj – poprosił. – Jesteśmy dopiero przy przystawkach.

Coś w jego głosie – jakaś ciepła, wibrująca nuta – sprawiło, że spuściła wzrok. Czy tylko jej się tak zdawało, czy też naprawdę miał na myśli coś więcej niż kolację?

Potem przyszedł czas na szaszłyki z grillowanych krewetek i egzotycznych owoców, steki z argentyńskiej wołowiny w sosie z zielonym pieprzem i kurkami, a do tego maleńkie, młode ziemniaki obtoczone w liściach świeżego cząbru i upieczone na złocisty kolor.

Tonia miała wrażenie, że śni. Kolory, wonie, smaki… to była uczta zmysłów, doświadczenie na granicy ekstazy.

Ze zdumieniem odkrywała, że przeżyła całe dwadzieścia cztery lata, zupełnie nie doceniając czynności, jaką było jedzenie. A teraz odnajdywała w sobie duszę smakosza. Przyjemnie zrelaksowana, przełknęła ostatni kęs i uśmiechnęła się błogo.

– Odważymy się zamówić deser? – Leon Kariakis odpowiedział jej uśmiechem. Pomyślała przelotnie, że ten człowiek coraz mniej kojarzy jej się z cyborgiem.

– Deser…? – Otworzyła szeroko oczy, jak dziecko w Boże Narodzenie, gdy się zorientuje, że pod choinką czeka jeszcze jeden, niespodziewany prezent.

– Zerknijmy w kartę dań. Jeśli znajdziesz tam coś, na co poczujesz chęć, zamówimy to. Możemy przecież wziąć to na wynos.

Tonia postanowiła, że zerknie. Z czystej ciekawości. Jakie desery serwowali w tym raju, do którego trafiła. Czy zrozumie cokolwiek z zawiłych nazw, których składnia zawsze kojarzyła jej się z grą w skojarzenia prowadzoną przez nieprzeciętnie kreatywnych szaleńców?

O, na przykład to: „Sekretny romans musu z mrożonej czekolady i likieru pomarańczowego, w słodkim schronieniu z gruszki pieczonej w rumowej zalewie”. Zaśmiała się rozbawiona i nagle dotarło do niej, co powiedział Leon Kariakis.

Na wynos?

Czyli… planował ciąg dalszy?

Poczuła, że robi jej się gorąco. Ciepła noc późnego lata, ona i ten tajemniczy mężczyzna, którego jeszcze rano nazywała Cyborgiem, a teraz była nim coraz bardziej zauroczona.

Nie, wróć. Ciepła letnia noc, ona i najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała, a do tego gęsta, esencjonalna czekolada i upojnie dojrzałe owoce… Nie miała pojęcia, jak to się stało, ale nagle wyobraźnia wymknęła jej się spod kontroli. Widziała ich razem, nagich, nieznających wstydu, jakby dane im było wrócić do Edenu. Niemal czuła na języku chłodną słodycz czekolady i kontrastujące z nią ciepło skóry Leona. Niemal widziała, jak pochyla się nad nim, muska włosami jego twarz, koniuszkiem języka zlizuje czekoladę z szerokiego, pięknie wyrzeźbionego torsu.

Zagryzła wargi, żeby stłumić jęk tęsknoty. Nagle poczuła się głodna – głodna bliskości drugiego człowieka i tego szaleństwa zmysłów, które karmi się szczerością i całkowitym zaufaniem.

Przerażona tym, co roiło się w jej głowie, spojrzała na Leona ogromnymi oczami. I dostrzegła ten sam głód. To samo szaleństwo. Wytrzymała jego wzrok tylko chwilę, krótką jak uderzenie serca, a potem zacisnęła powieki. Ale wiedziała, z pewnością tak naturalną, jak kolejny oddech, że się nie myli. Oboje pragnęli… siebie nawzajem.

– Nie, dziękuję za deser. – Niemal zerwała się z miejsca. – Muszę… muszę już iść. Jest późno.

– W porządku. – On nie spuścił wzroku. Przyglądał jej się w skupieniu, nie kryjąc zainteresowania. – Jak sobie życzysz.

Gestem przywołał kelnera, który pojawił się prawie natychmiast. Nie dosłyszała krótkiej rozmowy, zobaczyła tylko błysk złotej karty kredytowej. Ile kosztowała kolacja? Nie miała pojęcia, nie chciała wiedzieć. Nie musiała się tym interesować. W świecie luksusu i bogactwa była tylko chwilowym gościem i nigdy więcej tu nie wróci.

Czy już zaczynała tego żałować?

Kiedy, przed wyjściem z restauracji, wstąpiła na moment do toalety, zobaczyła w lustrze niemal obcą twarz. Dziewczyna w sztywnej sukience

sprzedawczyni miała rumieńce na policzkach, a jej oczy lśniły jak gwiazdy. Tak musiał wyglądać Kopciuszek na balu. Ale ona dobrze wiedziała, że życie to nie bajka. Zanim jednak nastanie świt… zanim prawdziwe życie przejmie władzę, chciała zrobić jeszcze choć kilka kroków w głąb baśniowej rzeczywistości.

– Daleko mieszkasz? – spytał Leon, kiedy wyszli w rześki chłód nocy.

– Ależ skąd, tuż obok – pośpieszyła z odpowiedzią. – Bardzo dziękuję za kolację i do zobaczenia.

– Odprowadzę cię – oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Do tego rozpadającego się bloku, w którym wynajmowała kawalerkę wielkości pudełka od zapałek? Za nic na świecie.

– Tylko przez park. Nie chcę cię zatrzymywać, dalej poradzę sobie sama – powiedziała zdecydowanie.

– Oczywiście, jak sobie życzysz.

Ruszyli wąską alejką, pod ażurowymi koronami drzew oświetlonymi przez ozdobne latarnie. Szampan troszeczkę szumiał jej w głowie, więc zdecydowała, że teraz ona zagra z panem Kariakisem w dwadzieścia pytań. Zaczną od czegoś prostego…

– Masz rodzeństwo? – rzuciła lekko.

– Nie – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Jestem jedynakiem. Rozpieszczonym bogatym chłopcem. Moi rodzice są miliarderami, więc mogę robić, co mi się podoba.

Zerknęła na niego spod rzęs. Krzywił usta w cynicznym uśmiechu, ale znała go już zbyt dobrze, żeby nie dosłyszeć nuty goryczy w jego głosie. Czyżby wątpił w siebie? Czyżby nie dostrzegał, jak wyjątkowym jest człowiekiem?

– Możesz robić, co ci się podoba, bo sam na to zapracowałeś – powiedziała z uczuciem, zdecydowana stanąć po jego stronie, bronić go przed każdą niesprawiedliwością, nawet tą ukrytą w jego własnych myślach. Coś chwyciło ją za gardło – jakieś nieprzeparte pragnienie, by ukryć go w ramionach, przekonać, że jest… że jest po prostu wspaniały. Że ona go… bardzo szanuje.

– Może i sam doszedłem do pewnych rzeczy, ale miałem ogromne ułatwienia – stwierdził rzeczowo. – Urodziłem się w bogatej rodzinie, opływałem w dostatki, posłano mnie do najlepszych szkół, cieszę się dobrym zdrowiem.

– Może i miałeś ułatwienia, ale potrafiłeś je wykorzystać – podkreśliła. – Mogłeś po prostu zająć się eksperymentowaniem nad coraz wymyślniejszymi sposobami trwonienia rodzinnej fortuny. Wielu rozpuszczonych bogatych chłopców tak robi.

– Widocznie nie złapali bakcyla matematyki. – Wzruszył ramionami. – Ani biznesu. Albo nie lubią rywalizacji. Ja żyję, tak jak żyję, bo mnie to kręci. Uwielbiam odnosić sukcesy. W każdej sytuacji kryje się jakiś potencjał i można go wykorzystać. Lubię analizować rzeczywistość, wnikać do głębi, wtedy odczuwam satysfakcję...

– Och, doprawdy? – wymruczała Tonia.

Leon zgubił wątek, zmarszczył brwi. A potem, nagle, wybuchnął śmiechem. Tonia była tak zaskoczona, że zmyliła krok i potknęła się, a on błyskawicznie wykorzystał potencjał sytuacji i chwycił ją w ramiona. Zamknęła oczy, wsłuchana w ten swobodny, szczery śmiech, rozkoszując się jego głębokimi, ciepłymi nutami. Nie uniosła powiek, kiedy śmiech ścichł, kiedy poczuła na twarzy ciepło oddechu, a potem, na ustach, delikatne dotknięcie męskich warg.

A on musiał już wszystko przeanalizować i przewidzieć jej ruch, bo nie wzmocnił uścisku ani nie pogłębił pocałunku. Czekał. Tonia wahała się zaledwie sekundę, a potem, z cichym westchnieniem wspięła się na palce, oplotła kark Leona ramionami i, wciąż nie otwierając oczu, szukała ustami jego ust.

Jeśli to jest Cyborg, to musi mieć wgrany jakiś program napisany przez geniusza, przemknęło jej przez myśl, kiedy wreszcie zaczął ją całować. Wargi miał gorące i jedwabiste, gdy delikatnie pieścił jej usta, twarde i nieustępliwe, gdy bez słów mówił jej o tym, czego naprawdę pragnie. Odpowiadała mu z niecierpliwą szczerością, koniuszkiem języka opisując swój głód, rozchylonymi ustami chłonąc smak tego pocałunku, ekscytujący, ostry. Smak niezaspokojonego pożądania i zachwytu wobec odkrycia, jakiego właśnie dokonywali.

Poczuła, jak jego dłonie, mocne, zdecydowane, przesuwają się w dół jej pleców, zamykają talię w gorącym uścisku. Ale to było za mało. Ciągle za mało. Uniosła ramiona i wplotła palce w jego włosy, skutecznie rujnując pedantyczne uczesanie. A potem zaborczym, niemal agresywnym gestem przyciągnęła jego głowę do siebie i wbiła zęby w jego dolną wargę. Mocno, nagląco.

Zrozumiał. Kiedy przesunął ręce niżej i objął jej pośladki, przeszył ją dreszcz tak silny, że zadygotała. Kolana miała całkiem miękkie, a jej kobiecość pulsowała nieznośnie rozkoszną, gorącą tęsknotą. Uniosła powieki i spojrzała prosto w ciemne, nieprzeniknione oczy Leona Kariakisa. Zobaczyła w nich dziką, bezlitosną żądzę i jej podekscytowanie zabarwiło się lękiem, który uniósł delikatne włoski na jej karku. Doświadczenie było tak przejmujące, że Tonia na długą chwilę zapomniała o oddychaniu.

Gdzieś niedaleko zaszczekał nagle pies, jakiś damski wysoki głos zażądał, żeby Budyń natychmiast przybiegł do nogi.

Tonia i Leon odsunęli się od siebie na odległość wyciągniętych ramion, rozejrzeli dokoła lekko nieprzytomnym wzrokiem, jak ludzie nagle wyrwani z głębokiego transu.

– Ładną… mamy dziś pogodę – wybąkała ona.

– O, tak, piękny wieczór – podchwycił on. – Przejdziemy się?

– Z miłą chęcią. – Łudziła się nadzieją, że chłodne powietrze jakoś ją otrzeźwi. Ale wystarczyło, że zaciągnęła się kilka razy zapachem jesiennych róż, opadłych liści i niedawno skoszonej trawy, mokrej od wieczornej rosy, żeby wiedzieć, że nie ma na co liczyć. Ta noc stawała się z chwili na chwilę coraz bardziej magiczna. Ranek nastąpi wystarczająco szybko, przywracając panowanie prozy życia. Nie czuła potrzeby, żeby cokolwiek przyspieszać.

Może urodziła się właśnie po to, żeby przeżyć taką jedną, szaloną noc?

Leon szedł obok niej w milczeniu. Alejka parkowa prowadziła wzdłuż ozdobnych ogrodzeń luksusowych hoteli i rezydencji. W jednym z prywatnych ogrodów, pod białym płótnem eleganckiego namiotu, grała orkiestra, a goście, zebrani przy stołach oświetlonych lampionami, popijali wino, raczyli się przekąskami i nieśmiało spoglądali na wciąż pusty parkiet.

– Zatańczymy? – Leon zastąpił jej drogę, skłonił się i szarmanckim gestem wyciągnął rękę.

– Tutaj? – Była przekonana, że to żart. – Na środku parkowej alejki?

– A kto bogatemu zabroni? – rzucił ze śmiertelną powagą, ale dostrzegła błyski rozbawienia w jego oczach.

Romantyczne, trochę szalone solo skrzypiec zdawało się wirować, poruszać powietrze, wprawiać półmrok w rozkołysane drgania. Tonia rozpoznała potoczystą melodię walca angielskiego. Rozejrzała się

niepewnie dokoła, ale park był prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku spacerowiczów z psami.

Kochała tańczyć, a tak mało miała ku temu okazji. Zresztą, tej nocy nie zamierzała być rozważna. Dygnęła, jak na dobrze wychowaną pannę przystało, i pozwoliła, by kawaler objął jej talię mocnym ramieniem. Uniosła rękę i ich dłonie spotkały się w pół drogi, palce splotły, a nogi poniosły ich posuwiście, posłuszne rozkołysanemu rytmowi walca. Tonia wyprostowała się, odchyliła w tył, gdy zaczęli się obracać. Ciemne sylwetki drzew i rozświetlone mlecznym blaskiem klosze latarni rozmyły się, widziała teraz jedynie ciemne i jasne smugi. Rzeczywistość zbladła, istniała tylko muzyka i ten mężczyzna, który trzymał ją w mocnym, stabilnym uścisku, gdy świat wokół niej zamienił się w szaleńczy wir. Tańczyli, zapatrzeni w siebie, dopóki muzyka nie umilkła, a przechodnie, którzy zdążyli zebrać się wokół, nie nagrodzili ich występu gromkimi brawami.

– Uciekajmy! – wykrztusiła Tonia, czując podchodzącą do gardła panikę.

– Dlaczego? – Leon wciąż nie wypuszczał jej z objęć.

– Nie widzisz, że nasza publiczność zaczyna już sięgać po smartfony? – syknęła. – Chcesz jeszcze dziś stać się główną atrakcją internetu?

– Nie chcę – odparł z całą stanowczością. – Dziękujemy za brawa i przepraszamy państwa – dodał z nienagannie uprzejmą miną, po czym, wciąż trzymając Tonię za rękę, puścił się biegiem przez trawnik. Popędziła za nim, tak szybko, jak tylko mogła.

Och, jakże dawno nie biegła tak szaleńczo, tak swobodnie. Lekko, jakby frunęła. Trawa pod stopami była mokra od rosy, a balsamiczne, nocne powietrze muskało twarz chłodnymi, niewidzialnymi palcami. Beztroska radość nagle wybuchła w jej sercu i Tonia usłyszała swój własny śmiech. Po chwili śmiali się już oboje, jak dwoje łobuziaków, którym udała się

psota. Biegli, aż wreszcie zabrakło im tchu. Tonia, z trudem łapiąc powietrze, oparła się o chłodny mur jakiejś kamienicy. Spojrzała w górę i aż zamrugała ze zdumienia. Jak to się stało, że byli z powrotem w Rezydencji pod Olchami?

Rezydencja.

Apartament na najwyższym piętrze.

Sypialnia z widokiem na park, a w niej królewskie łoże, wielkie jak transatlantyk. Z wysokoplastycznym, upiornie drogim materacem, który sama zamówiła.

Jej wzrok sam powędrował ku oknom sypialni na najwyższym piętrze, a potem z powrotem ku mężczyźnie, który stał tuż obok niej, opierając się ramieniem o mur.

– To jest bardzo zły pomysł – powiedział Leon miękko.

– O, tak – wyszeptała. Jak to możliwe, żeby człowiek, który jeszcze tego ranka wydawał jej się tak odległy i nieprzystępny wraz z całym swym bogactwem, onieśmielającą posturą i nieprzeniknioną miną Cyborga, teraz patrzył na nią z zupełnie jednoznacznymi zamiarami? Jak to możliwe, że stał się jej tak… bliski?

– To beznadziejny pomysł. Z mojej strony byłoby to czyste draństwo, a z twojej, cóż, co najmniej nieostrożność – dodał po chwili głębokiego namysłu.

– O, tak.

– A jednak obydwoje tego chcemy.

Cóż, jeśli nie chciała skłamać, nie mogła zaprzeczyć. A przecież miała zasady. I w dodatku seks bez zobowiązań zupełnie jej nie interesował. Nie widziała się w roli kochanki na jedną noc. Nigdy, przenigdy, za nic na świecie.

Ale z Leonem… rzecz miała się zupełnie inaczej. Choć wiedziała, że to brzmi naiwnie, miała głębokie przekonanie, że łączy ich coś niezwykle potężnego. Jakaś siła, której nie umiała nazwać, pchała ich ku sobie. Jakieś przeczucie, którego nie potrafiła zdefiniować, mówiło jej, że może mu zaufać. Powierzyć mu siebie. I w zamian żądać całkowitego oddania.

– O, tak – powtórzyła po raz trzeci. W sumie, co miała do stracenia? Doświadczenie nauczyło ją ostrożności, umiała ocenić ryzyko. W tę sytuację wchodziła z otwartymi oczami, bez oczekiwań rodem z bajek o księżniczkach. To miała być tylko jedna noc. Bez obietnic, bez złudzeń. Jedna noc, kiedy pozwoli sobie na ekstrawagancję, jaką było wsłuchanie się we własne pragnienia. Zbyt długo koncentrowała się na pracy, obowiązkach, odpowiedzialności za siostrę. Tej nocy… weźmie wszystko, co życie miało jej do zaoferowania.

– Czy zamierzasz powtarzać mi to aż do rana? – wychrypiał, przyciągając ją do siebie, obejmując zaborczo jak człowiek, który po latach błądzenia odnalazł to, za czym nieprzerwanie, boleśnie tęsknił.

– O, tak! – Pokiwała głową, śmiejąc się bezgłośnie. On jednak nie odpowiedział jej uśmiechem. Wpatrywał się w nią pociemniałymi oczami, w których widziała napięcie oczekiwania i jakąś uroczystą powagę.

– Czy powiesz „tak”, czegokolwiek bym od ciebie nie zażądał?

– O, tak – przyrzekła, wytrzymując jego spojrzenie. W głębi serca czuła, że chodzi w tej chwili o coś znacznie ważniejszego niż ta rozmowa, niż ta sytuacja, niż ta jedna noc zapomnienia.

Musiał zrozumieć wagę jej słów, bo skłonił głowę, jakby zamierzał przed nią uklęknąć. Wyciągnęła do niego ręce niecierpliwym gestem. Chciała, żeby wreszcie przejął inicjatywę.

Nie byłby sobą, gdyby nie poświęcił chwili na analizę sytuacji. A potem porwał Tonię w ramiona, uniósł, jakby była lekka niczym piórko, i wielkimi

krokami ruszył do wejścia. Boczne drzwi otworzyły się, kiedy, nie wypuszczając jej z ramion, przyłożył kartę do czytnika. Prywatna winda czekała, by zawieźć ich do apartamentu na najwyższym piętrze, dyskretnie, poza zasięgiem ciekawskich spojrzeń.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Położyła głowę na jego ramieniu, oparła się o szeroki, twardy tors i wdychała ekscytującą, jedyną w swoim rodzaju woń. Wyczuwała wyraźnie korzenną nutę luksusowej wody kolońskiej i świeży zapach trawy, po której przed chwilą biegli. W cieple bijącym od jego skóry wyczuwała lekką, ale bardzo sugestywną woń potu i pożądania. Jej ciało odpowiedziało natychmiast na ten pierwotny zew, dreszcz podniecenia spłynął po plecach i wypełnił jej kobiecość wilgotnym gorącem.

– O rany… – westchnęła i w tej samej chwili drzwi windy się otworzyły. Byli w apartamencie Leona.

– Pies! – Rozejrzała się, nagle spłoszona. Co, jeśli Kamyk narozrabiał tu pod ich nieobecności? Przez te kilka ostatnich godzin zupełnie o nim zapomniała!

– Śpi – rzucił Leon, wielkimi krokami wchodząc do salonu. Posadził Tonię na czymś wysokim i chłodnym – no tak, oczywiście, na kamiennym blacie, za którym urządzona była część kuchenna. Nieraz pucowała ten blat, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby na nim siadać! Co też ten Leon…

Zrobił krok w tył, pozwalając dłoniom błądzić po jej udach i kolanach, przesunął palcami wzdłuż jej łydek i kostek, jakby chciał przeanalizować ich kształt.

– Masz zupełnie przemoczone nogi – wymruczał.

Zabrakło jej tchu, kiedy powoli opadł na kolana i z namaszczeniem zaczął rozpinać cienkie paseczki jej pantofli. Zakręciło jej się w głowie,

kiedy buty opadły na ziemię, a ten potężny mężczyzna, wciąż na kolanach, pochylił się i zaczął całować jej stopy.

– Rajstopy też masz mokre – stwierdził rzeczowo, kiedy z jękiem odchyliła głowę w tył.

– To pończochy – wyszeptała drżąco. – Nie cierpię nosić rajstop…

– Pończochy? – ucieszył się i wstał. – Idealnie.

Wsunął dłonie pod sukienkę, pieszcząc opuszkami palców smukłe uda, a gdy dotarł do ozdobionego koronką wykończenia pończoch, zaczął je zsuwać z nóg Toni.

– Och, proszę cię… – Jej słowa przeszły w jęk. O co prosiła? Czego właściwie chciała? Czy tego, by pieścił ją jak najdłużej, czy raczej żeby już wreszcie przeszedł do bardziej zdecydowanej akcji? Nie potrafiła zdecydować.

Na szczęście jej nogi, uwolnione od pończoch, zdecydowały za nią. Uda rozsunęły się, kolana uniosły, łydki przylgnęły do boków stojącego przed nią mężczyzny, kostki skrzyżowały się za jego plecami, pięty dźgnęły ponaglająco jego szerokie plecy. Była pewna, że Leon weźmie ją na ręce i zaniesie do łóżka.

Pragnęła tego.

Była gotowa.

Chciała, by ją wziął, przygniótł swoim ciężarem, wdarł się w jej spragnioną miękkość. Chciała poczuć, jak przeszywa ją gorąca, dzika moc jego pożądania.

– Leon – wyszeptała, oplatając go mocno nogami, szukając ustami jego ust. Zamknął ją w ramionach, a ona przylgnęła do niego i całowała tak, jakby chciała mu oddać całą duszę.

Bezsilna wobec gorączki, która niemal odbierała jej zmysły, osunęła się w jego objęcia. A kiedy Leon wsunął dłoń pomiędzy jej uda, rozsunęła nogi

jeszcze szerzej, otwierając się dla niego, pozwalając, by dotknął tego miejsca, które pulsowało coraz gwałtowniej pragnieniem tak intensywnym, że niemal bolesnym. Drgnęła i wygięła się w łuk, gdy pogładził opuszkiem palca nabrzmiewający pączek jej kobiecości. Zacisnęła palce na jego ramionach, rozpaczliwie walcząc o oddech, kiedy zdecydowanie odsunął materiał jej skromnych bawełnianych majteczek, kiedy poczuła, jak jego nieustępliwe palce wdzierają się w jej wrażliwe, wilgotne wnętrze.

Nie przerywał pocałunku, pieszcząc ją, przywołując rozkosz, sprawiając, że potężniała w niej niczym muzyka pod palcami wirtuoza.

– Och… – wyszeptała gorączkowo, bezwiednie poruszając biodrami, napierając na niego, żeby dostać więcej. Jeszcze więcej…

Krzyknęła, kiedy jej zmysły eksplodowały, uwalniając ją nagle z ograniczeń świadomości, czasu i przestrzeni, powierzając ją dzikiemu żywiołowi rozkoszy. Leon mocno trzymał ją w objęciach, gdy targnęła się raz i jeszcze raz, i jeszcze, dopóki nie umilkły przetaczające się przez nią echa eksplozji.

Jęknęła słabo, kryjąc twarz na jego piersi. Uniesienie minęło, tonęła teraz w oceanie słodkiej czułości. Jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś równie niesamowitego. Nie przyznałaby się do tego za nic na świecie, ale właśnie przeżyła swój pierwszy orgazm.

– Zabierz mnie do łóżka – poprosiła, wtulając się w niego, okrywając pocałunkami jego twarz.

– Tak od razu? – Odsunął się, popatrzył na nią spod zmarszczonych brwi. – Słyszałem, że grzeczne dziewczynki zawsze przed snem biorą kąpiel.

Nie miała siły się sprzeciwić. Cały dzień spędziła w pracy, a potem był jeszcze ten szalony wieczór. Ciepła woda… i ten mężczyzna, jej

kochanek… Na samą myśl o tym zaczęła w niej wzbierać kolejna fala rozkoszy.

Obejmowała go za kark, kiedy niósł ją do łazienki, grzecznie usiadła na wyłożonym egzotycznym drewnem brzegu ogromnej, półkolistej wanny. Odkręcił kran i gorąca woda zaczęła się lać szerokim strumieniem, wypełniając pomieszczenie miękkimi kłębami ciepłej, kojącej pary. Wsypał coś do wody i powietrze wypełniła słodka, upojna i dzika woń kwiatów wiciokrzewu. Tonia pomyślała przelotnie, że stanowczo nie doceniła Cyborga, kiedy zadał sobie trud, by zapalić białe świece, wysokie i niskie, cienkie i grube, ustawione na parapetach okiennych i na szerokich blatach przestronnej łazienki. Kiedy już wszystko było gotowe, stanął przed nią – wysoka postać rysująca się ciemnym konturem o majestatycznych męskich liniach na tle miękkich obłoków pary wodnej, rozświetlonych blaskiem świec. Wyglądał… niemal groźnie. Jak demon? Czarny anioł? Sam jego widok i świadomość, że za chwilę mu się odda, odebrały jej dech. Czym było to potężne uczucie? Fascynacją czy lękiem? Onieśmieleniem czy nieposkromioną ciekawością?

Wciąż stał przed nią, jakby odrealniony, ale przecież wciąż tak bardzo bliski. Stał i patrzył, a na jego twarzy malował się nieprzenikniony wyraz.

O czymś myślał. Coś analizował. Jak to on.

– Co ci chodzi po głowie? – spytała.

– Zastanawiam się, od czego będzie najlepiej zacząć – padła rzeczowa odpowiedź.

– Na pewno coś wymyślisz. – Tonia nie mogła się nie uśmiechnąć. – Masz przecież ogromne doświadczenie w tych sprawach, prawda?

Długo mierzył ją wzrokiem. W jego ciemnych oczach, które jeszcze rano wydawały jej się zimne, teraz dostrzegła ogień. I poczuła nieśmiałą nadzieję, że płonie on dla niej.

– Mam niejakie doświadczenie z kobietami – powiedział powoli, ważąc każde słowo. – Ale teraz, tutaj… to nie to samo. Dzieje się coś, co nie do końca rozumiem, ale wiem jedno: nie mam w tym żadnego doświadczenia.

– Chętnie pomogę. – Uśmiechnęła się szerzej, kiedy nieśmiała nadzieja spotężniała, wybuchła w jej sercu szaleńczą radością. – Może przyniosę notes i spiszemy listę różnych opcji?

Roześmiał się i drugi raz tego wieczora śmiech pociągnął ich ku sobie, połączył jak silna, niewidzialna nić. Leon musiał poczuć to samo co ona, bo nagle spoważniał.

– Rozbierz się dla mnie – wymruczał gardłowo.

– Nie. – Wyprostowała się, założyła nogę na nogę i rzuciła mu wyzywające spojrzenie spod zmrużonych powiek. – Ty pierwszy.

Była pewna, że weźmie to za żart, więc kiedy bez słowa zrzucił z ramion marynarkę i sięgnął do węzła krawata, z wrażenia aż zaschło jej w gardle. Po krawacie, który, zdjęty płynnym, błyskawicznym ruchem, strzelił w powietrzu jak bicz i opadł na posadzkę, przyszła kolej na guziki koszuli. Tonia patrzyła jak zahipnotyzowana na palce jego dużych, silnych dłoni, gdy nieśpiesznie manipulował przy guzikach, odsłaniając skórę opaloną na złocisty kolor. Ramiona miał szerokie i mocne, tors i brzuch jakby wyrzeźbione dłutem artysty, który chciał złożyć hołd uderzającemu pięknu idealnej, męskiej sylwetki. Był wspaniały. A jednak, stojąc przed nią, półnagi, wydawał się bezbronny, wydany na łaskę jej spojrzenia. Poczuła, jak wzbiera w niej jakaś upajająca, magiczna moc.

Z królewską godnością skinęła głową, gestem nakazując mu, by kontynuował. Kiedy sięgnął do klamry paska, rozpiął ją, powoli rozsunął suwak spodni i wreszcie, kilkoma sprawnymi ruchami pozbył się reszty ubrania, porzuciła królewską pozę i przycisnęła dłonie do ust, tłumiąc westchnienie. Widok jego nagości przeszył ją zachwytem nagłym

i wszechpotężnym, jak uderzenie błyskawicy. Leon Kariakis był naprawdę znakomicie zbudowany. Stał przed nią bez wstydu, wolny, wyniosły niczym grecki bóg. Nie mogła nie zauważyć, jak bardzo był gotów. Gotów… dla niej.

– Teraz twoja kolej – powiedział cicho, nagląco. – Chcę cię zobaczyć nagą.

Gdyby nie to, że drżały jej ręce, a serce tłukło się w piersi tak mocno, że z trudem łapała oddech, doceniłaby na pewno niecodzienność sytuacji. Oto multimilioner właśnie zrobił bardzo widowiskowy striptiz przed dziewczyną ubraną w skromną służbową sukienkę pracownicy sklepu z papeterią.

Ale jej nie było do śmiechu. Jak miała się przed nim rozebrać? Nie umiała robić takich rzeczy. A poza tym pod sukienką i bluzeczką nosiła bawełnianą, najtańszą bieliznę. Kupioną na bazarze, jeśli chodzi o ścisłość. Chyba umrze z zażenowania…

– Antonio – wymruczał, robiąc krok w jej stronę. – Pragnę cię.

Wystarczyły te dwa słowa, żeby zapomniała o nieśmiałości i o tym, że dzieli ich społeczna przepaść, której nic nie mogło wyrównać. Sięgnęła do zapięcia sukienki. Rozpinała ją powoli, wpatrzona w płomień, który rozpalał się coraz potężniej w jego oczach. Kiedy miała na sobie już tylko skromniutką bieliznę, nie wytrzymał. Porwał ją w ramiona.

– Przez cały dzień marzyłem o tej chwili – wymruczał, wplatając palce w jej włosy, pieszcząc ustami czoło, szukając niecierpliwymi dłońmi miękkości jej piersi.

– Ja też – szepnęła, unosząc ramiona, obrysowując drżącymi palcami jego twarz, którą już zdążyła pokochać.

Pokochać? Dlaczego podświadomość podpowiedziała jej myślom to słowo? Przecież nie było mowy o miłości, tylko o chwili przyjemnej,

nieszkodliwej zabawy pomiędzy dwojgiem chętnych dorosłych. Bez oczekiwań, bez zobowiązań… Jutro rozejdą się, każde z nich wróci do swojego życia.

Rozumiała to i w pełni akceptowała. A jednak myśl o miłości, o całym tym nieskończonym bogactwie, które mogłoby należeć do nich, sprawiła, że poczuła nagłą, bolesną tęsknotę.

A potem przestała myśleć, bo Leon sięgnął do zapięcia stanika i uwolnił jej piersi. Przez chwilę pieścił wzrokiem ich kremowe wzgórza, zwieńczone zawadiacko sterczącymi koniuszkami, a potem ujął je w dłonie i powoli obrysował opuszkami kciuków drobne aureole.

– Jesteś cudowna. – Jego dotyk przeszył ją dreszczem, gdy zaczął przesuwać dłonie niżej, gładząc wrażliwą skórę jej talii i brzucha. – Pozwól mi – wymruczał, wodząc palcami wokół jej bioder.

– Tak, och, tak – zdołała wyjąkać. Chciała, żeby rozebrał ją do końca. Chciała, żeby ją wziął.

Nie czekał dłużej. Zsunął majtki w dół jej pośladków, wzbudzając tą szorstką pieszczotą kolejną falę gorącej, rozedrganej rozkoszy. A potem odsunął ją od siebie i objął rozpłomienionym spojrzeniem całą jej postać.

Była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał.

Była nieskończenie bardziej cudowna, niż mógłby sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach.

Stała przed nim, wyprostowana, z podniesioną głową, wyczekująco patrząc mu w oczy. Była dziewczęco szczupła, a jej drobnemu ciału wiele brakowało do doskonałości figury modelki.

Brakowało?

O nie, Antonii Roberts nie brakowało niczego. Przeczuwał to, zanim jeszcze zobaczył ją nagą. Jakby znał ją od zawsze. Jakby całe życie właśnie jej szukał. Linie jej sylwetki przemawiały do niego w sposób, który

intuicyjnie rozumiał. Miała w sobie delikatność i zawadiacki urok młodej dziewczyny, miała też godność i powagę kobiety.

Była spełnieniem.

I wyzwaniem.

A on kochał wyzwania. Nie potrzebował nawet czasu do namysłu, po prostu wziął ją na ręce i wszedł do wanny. Woda zamknęła ich w rozkosznie ciepłych, słodko pachnących objęciach.

Ależ wielka jest ta wanna, pomyślała Tonia przelotnie, kiedy się zanurzyli. I głęboka, prawie jak basen. Czuła się nieważka, całkowicie beztroska, unoszona przez wodę i ramiona kochanka. Kiedy usiadł, wspięła się na niego, roznamiętniona, niecierpliwa. Jęknął chrapliwie, gdy zręcznymi palcami odnalazła jego męskość i z rozmarzonym uśmiechem zaczęła gładzić jedwabistą miękkość, która skrywała nabrzmiałe do granic wytrzymałości pożądanie. Był twardy jak stal, naprężony jak cięciwa łuku. I nie chciał czekać ani chwili dłużej. Objął dłońmi jej biodra, uniósł ją nad sobą i wdarł się potężnym pchnięciem w jej wąziutkie, gorące wnętrze.

Wszedł w nią tak głęboko, że miała wrażenie, że dotknął jej serca. Wydała zdławiony okrzyk, wbiła paznokcie w jego ramiona. I zakołysała biodrami, otwierając się na niego, przyjmując wszystko, co mógł jej dać. Spleceni ze sobą, zapatrzeni w siebie, podążyli razem szlakiem, który wyznaczała potężniejąca w nich rozkosz. I nagle ze zdumieniem odkryli, że dotarli na szczyt. Chwytając się siebie nawzajem rozedrganymi palcami, runęli w przepaść spełnienia.

Woda wokół nich falowała, zalewając podłogę łazienki. Nie zauważyli tego, półprzytomni, skupieni na walce o każdy kolejny oddech.

– Leon – wyszeptała drżącymi wargami.

– Toniu, najdroższa moja. Ukochana. – Przycisnął ją do piersi. I trwali tak, upojeni mocą tej nowej łączącej ich bliskości, aż rozkołysana woda uspokoiła się, a świece poczęły gasnąć.

Wreszcie on podniósł się, unosząc ją w ramionach. Żadne z nich nie przejęło się tym, że ociekają wodą. Po chwili tonęli już w puszystej miękkości pościeli rozesłanej na ogromnym łożu w sypialni. I znów szukali siebie nawzajem chciwymi dłońmi i zachłannymi ustami. Noc była młoda, a oni dopiero zaczynali odkrywać tajemnicę, która ich połączyła.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– A gdzież to się podziewa nasza droga Antonia?

Joel wyprężył się na baczność, gdy, stukając piętnastocentymetrowymi obcasami muszkieterek na szpilkach, do kontuaru recepcji podeszła dama w kapeluszu wielkim jak młyńskie koło i zdobnym dodatkowo w pęk chwiejących się bez ustanku pawich piór. Poprawiła ciemne okulary zasłaniające jej pół twarzy i ręką obleczoną w czarną rękawiczkę, sięgającą niemal ramienia, skinęła na dwóch osiłków taszczących całe góry ubrań w foliowych opakowaniach.

– Nie ma jej teraz. – Stażysta uśmiechnął się przepraszająco.

– A kiedy się zjawi? – chciała wiedzieć dama. – Mój chłopcze, odebrałam właśnie kreacje z pralni i potrzebuję, żeby Tonia je posortowała i skatalogowała, tak jak zawsze to robi.

Właśnie, kiedy się zjawi? Leon przeszedł przez hol i zatrzymał się, ukryty za stosem kolorowych fatałaszków. Odpowiedź na to pytanie żywo go interesowała.

– Dzisiaj jej nie będzie. – Joel rozłożył ręce. – Jest chora.

– Chora? Niemożliwe – orzekła dama z całkowitym przekonaniem. – Przecież Tonia nigdy nie choruje. I nigdy nie bierze wolnych dni. Tonia zawsze jest na posterunku.

– Przykro mi, ale teraz naprawdę zachorowała, proszę pani. – Leon dosłyszał w głosie młodego pracownika autentyczną troskę. – Chętnie

pomogę uporządkować pani, hm, kreacje – dodał, rzucając przerażone spojrzenie w stronę dwóch gór pstrokacizny.

– Ależ to absolutnie wykluczone. – Dama zbyła jego propozycję machnięciem dłoni. Niech się pan nie obrazi, drogi chłopcze, ale tylko Antonia wie, jak należy traktować moje toalety. Proszę mi powiedzieć, czy naszej Toni dolega coś poważnego?

Zniknęła afektowana poza. Ekscentryczna mieszkanka rezydencji była teraz szczerze zaniepokojona. Leon pomyślał, że trudno o lepsze referencje dla Antonii Roberts. To ona była filarem Rezydencji pod Olchami, to jej twórcza energia, troskliwość i sumienność budowały tutejszą domową atmosferę. Wszyscy w rezydencji uwielbiali Tonię. I nie mogli bez niej żyć.

Cóż, znał jeszcze kogoś, kto nie mógł bez niej żyć.

Czyż nie do niej tu wrócił? Czyż nie przyleciał jak na skrzydłach? Liczył na to, że wkroczy do rezydencji i już od progu zobaczy drobną sylwetkę Toni, usłyszy jej głos, życzliwy i pełen animuszu, kiedy rozmawiała z lokatorami. Miał nadzieję, że jej urocza twarz rozpromieni się na jego widok. Nieśmiało marzył o tym, że powita go z otwartymi ramionami, choć przecież zostawił ją, jak ostatni tchórz, i uciekł, nie dał znaku życia przez całe trzy tygodnie.

Nie zastał jej. Nieoczekiwane rozczarowanie sprawiło mu dojmujący, niemal fizyczny ból.

– Och, pan Kariakis! – Dama w kapeluszu obróciła się całkiem zgrabnie na swoich niebotycznych obcasach i na jego widok aż zaklaskała w dłonie z uciechy. Choć już dobrą chwilę temu musiała przekroczyć pięćdziesiątkę, figurę miała nienaganną, a dekolt wąskiej minisukienki w lamparcie cętki był niefrasobliwie rozpięty.

Leon powiedział sobie, że jest przecież człowiekiem mężnym, i zdobył się na blady uśmiech.

– Bardzo mi miło, pani…

– Autumn. Mów mi po imieniu, kochanie. Zajmuję apartament numer trzy, w razie, jakby co – dodała scenicznym szeptem.

– Mam nadzieję, że chwali sobie pani pobyt w rezydencji – wyrecytował, usiłując panować nad twarzą.

– Sama nie wiem. – Autumn teatralnym gestem przycisnęła dłonie do serca. – Antonia, nasz Piętaszek w spódnicy, podobno zachorowała. Wydaje mi się, że wczoraj też jej nie widziałam. Ani przedwczoraj… a bez niej to już nie to samo, panie Kariakis. Musi pan wiedzieć, że to ona jest dobrym duchem tego domu. Dba o nas wszystkich. Proszę się upewnić, że do nas wróci.

Taki właśnie miał zamiar.

Przede wszystkim chciał się dowiedzieć, czy Tonia wróci do niego. I widział ją w zupełnie innej roli niż Piętaszka w spódnicy.

Pomimo polityki ochrony danych osobowych nie miał najmniejszego problemu, by zdobyć adres zamieszkania panny Roberts.

– Już pan wychodzi, panie Kariakis? Dopiero co pan przyjechał. Zaraz pomogę kierowcy wnieść bagaże do apartamentu, przygotuję panu kawę albo herbatę – pospieszył z propozycją Joel, widząc, jak Leon wielkimi krokami wychodzi z biura i kieruje się do drzwi.

– Dziękuję, nie trzeba. Z usług kierowcy nie korzystam, przyjechałem sam i mam tylko jedną torbę podróżną. Zostawię ją na razie w samochodzie.. Muszę coś załatwić w mieście – odparł, nie zatrzymując się.

Na podjeździe przed rezydencją stał jego ulubiony samochód – czarna terenowa toyota. Wóz nie wzbudzał jednoznacznego skojarzenia z bogactwem, za to spalanie miał rozsądne i bardzo dobrze trzymał się drogi. Leon lubił długie godziny za kółkiem. Miał wtedy czas na myślenie.

Ale tego ranka, kiedy jechał z Plymouth, gdzie ostatnio nadzorował budowę luksusowego osiedla na nadmorskim terenie, w który niedawno zainwestował, myślał tylko o Toni.

Prawda wyglądała tak, że przed trzema tygodniami uciekł od niej jak ostatni tchórz.

Ich wspólna noc była niezwykła. Maleńka, piegowata konsjerżka z londyńskiej rezydencji okazała się kochanką jego marzeń – skromną i śmiałą, czułą i drapieżną, władczą i uległą. Była spontaniczna, szczera i urocza, a w dodatku, co go zachwyciło, była diabelnie inteligentna. Jej zdaniem to młodsza siostra, Ofelia, była tą zdolną, o sobie mówiła z pewnym lekceważeniem, że ma pstro w głowie. Leon szybko się zorientował, że to nieprawda. Tonia po prostu nie wiedziała, jak bardzo jest utalentowana. Nigdy nie miała okazji się o tym przekonać, bo kiedy tylko skończyła szkołę średnią, poszła do pracy. Taka była – honorowa, bezinteresowna, odważna i wytrwała.

Myślała o innych, siebie stawiała na ostatnim miejscu. Ale teraz to się zmieni, bo on o nią zadba. Chciał, żeby poszła na studia. Był gotów dać jej płatny urlop na ten czas. Nazwie to inwestycją w personel i niech Tonia spróbuje mu się przeciwstawić!

Pędząc autostradą pod nieco zamglonym angielskim słońcem, popuścił wodze fantazji. Tonia powinna o siebie zadbać. Powinna wreszcie mieć czas, żeby zastanowić się nad tym, czego chce od życia. Powinna mieć możliwość spełnienia marzeń. Należało jej się to.

Przede wszystkim wierzył, że uda mu się jej wytłumaczyć, dlaczego zmienił plany i zamiast zostać w rezydencji, wyjechał bez pożegnania. Nie wiedział tylko, jak ubierze to w słowa. Miał pretekst do wyjazdu, owszem, bo okazało się, że inwestycja w Plymouth wymaga jego pilnej interwencji, ale przecież tak naprawdę ten wyjazd to była sromotna rejterada.

Uciekał przed nią.

Nie, wróć. Uciekał przed samym sobą. Przed świadomością, że ta noc niebezpiecznie naruszyła życiową rutynę, którą lubił.

Pamiętał każdy moment tamtej nocy. Tonię leżącą pod nim, jedwabisty dotyk jej smukłych nóg obejmujących go chciwym, zaborczym uściskiem. Wachlarze ciemnozłotych rzęs, kiedy przymykała oczy, burzę zmierzwionych włosów na poduszce. Delikatne nadgarstki, na których zaciskał palce, kiedy więził ją pod sobą. Jej smukłe ciało, tańczące nad nim w półmroku jak biały płomień, kiedy ujeżdżała go dziko, ze swobodą, na którą pozwala tylko pełne zaufanie.

Tamtej nocy oddała mu się bez reszty. Nie grała, nie starała się zrobić wrażenia, nie usiłowała niczego udowodnić ani jemu, ani sobie. Była całkowicie szczera. Kiedy, nad ranem, zasypiali wreszcie w rozkosznym cieple splecionych ramion, kontemplował ten fakt z pełnym zachwytu zdumieniem.

A gdy kilka godzin później się obudził, nie było jej przy nim. Łazienka została posprzątana, poduszka, na której spała, wytrzepana i równiutko ułożona.

– Toniu? – zawołał, choć wiedział, że odpowie mu cisza. – Kamyk? – spróbował zamiast tego. Poczuł się nagle tak dojmująco samotny, że chciał mieć przy sobie chociaż psa. Ale jamnika też nie było. Na pewno Tonia wyprowadziła Kamyka, bo należało to do jej obowiązków. Szkoda, że go nie obudziła. Powiedziałby jej, że nie musi się zachowywać wobec niego jak sumienna pracownica. A potem poszliby razem na poranny spacer z psem.

Kiedy pojawił się na parterze rezydencji, od razu ją zobaczył – ubrana w służbowy uniform uwijała się, sortując poranne przesyłki dla mieszkańców i zbierając nowe zamówienia.

– Pan Kariakis. Dzień dobry.

– Miło, że pamiętasz, jak się nazywam. – Uśmiechnął się szeroko, ale ona pozostała poważna.

– Może chciałby pan wiedzieć, że Kamyk znalazł już nowych właścicieli – powiedziała nieco sztywno. – Kiedy mieszkańcy dowiedzieli się o śmierci pana Clarka, wielu z nich zainteresowało się losem jego psa, a państwo Cavendish, którzy zajmują apartament na parterze, poprosili o możliwość przygarnięcia Kamyka. To życzliwi ludzie. Przyjaźnili się z panem Haroldem, pies jest do nich przyzwyczajony. Będzie mu u nich dobrze, a pan nie będzie niepokojony obecnością Kamyka. No i moimi codziennymi wizytami – dodała, uciekając spojrzeniem w bok.

– Dziękuję za informację. – Skinął głową. Dlaczego ta rozmowa była taka dziwna? Dlaczego Tonia udawała, że go nie zna, skoro poznali się, i to w sensie biblijnym? Leon poczuł się zdezorientowany. Ona jednak niczego nie chciała wyjaśnić. Posłała mu nieco wymuszony uśmiech i wróciła do pracy.

Co miał robić? Nie mógł jej zapytać wprost, dlaczego po ich wspólnej, gorącej nocy traktuje go tak chłodno. Nie byli sami. Popełnił błąd, idąc z nią do łóżka, i nie zamierzał dopuścić się kolejnego, będąc niedyskretnym. Próżno szukał w jej oczach jakiegokolwiek śladu namiętnej czułości, którą obdarowywała go przez całą noc, aż do świtu.

Patrząc na nią, podjął decyzję. Musi bezzwłocznie wyjechać. Z jakiegoś powodu nie życzyła sobie jego obecności, a on nie lubił się narzucać. Wycofał się do apartamentu, czując dziwną, dławiącą pustkę w piersi. Nawet Kamyk nie czekał tam na niego.

Co z nim było nie tak, że brakowało mu psa, którego poznał zaledwie dzień wcześniej? Nagle wspomnienie o innym psie ożyło, wyrwało się z zamknięcia, w którym trzymał je od lat trzydziestu. Wesoły, szalony

szczeniak z długimi klapniętymi uszami, który biegał za nim wszędzie. I którego ukradkiem przemycał do swojego pokoju, kiedy szedł spać. Ale po kilku tygodniach rodzice stwierdzili, że pies przeszkadza, że to była pomyłka. I czekoladowy labrador zniknął z domu Kariakisów. Sześcioletni Leon nauczył się wtedy dwóch ważnych rzeczy. Nigdy nie okazywać emocji, bo zostaną poczytane za słabość. I nigdy, przenigdy nie przywiązywać się do niczego. Ani do nikogo. Bo ból straty jest ryzykiem, które się po prostu nie kalkuluje.

Powiadomił zarząd, że musi nagle zmienić plany i wyjechać, bo wzywają go sprawy niecierpiące zwłoki, i jeszcze tego samego dnia był w Plymouth. Minęły trzy tygodnie, zanim zrozumiał, że po prostu stchórzył.

Przestraszył się nowego doświadczenia. Jeszcze nigdy nie miał do czynienia z kobietą, która obudziłaby w nim tyle uczuć, ani z taką, która po wspólnej upojnej nocy udawałaby, że go nie zna. Po raz pierwszy w życiu żałował, że kochanka na jedną noc nie narzuca mu się następnego dnia.

Wyjechał więc, ale nie zdołał uciec od Antonii Roberts. Myślał o niej bez przerwy. We wspomnieniach widział ją wyraźnie, nagą, wzruszającą w swojej bezbronności, czuł smak jej gorących pocałunków. Aż wreszcie, po trzech tygodniach walki z coraz potężniejszą tęsknotą, zdecydował, że nie będzie się już dłużej karał za tę porażkę, której przyczyn nie rozumiał. Postanowił, że wróci. I rozmówi się poważnie z Antonią Roberts. Nie był już sześcioletnim chłopcem i o sprawy, które były dla niego ważne, potrafił walczyć.

Tego dnia świeciło łagodne jesienne słońce, a drzewa rosnące wzdłuż wąskich ulic spokojnej dzielnicy mieniły się złotem i czerwienią. Po krótkim namyśle Leon zdecydował, że zostawi samochód i pójdzie piechotą; mieszkanie Toni nie było bardzo daleko, choć leżało w części

miasta o zupełnie innym charakterze. Tutaj zabytkowe kamienice i luksusowe wille ustąpiły miejsca wielopiętrowym blokom, które przed kilkudziesięciu laty urbaniści uznali za dobrodziejstwo dla mieszkańców miast. Teraz wyglądały dość żałośnie; zacieki z rdzy barwiły szary beton, farba na ramach okien łuszczyła się. Tylko widoczne tu i ówdzie na balkonach kwiaty świadczyły o tym, że lokatorzy maluteńkich mieszkań nie tracili ducha i heroicznie walczyli z brzydotą, w której przyszło im żyć. Błądził chwilę wśród brudnych murów ozdobionych mniej lub bardziej obscenicznymi napisami, starając się nie zwracać uwagi na zapach moczu i zwietrzałego piwa, wyraźnie wyczuwalny w każdym niemal zakamarku, ani na grupki wyraźnie nudzącej się młodzieży, posyłające mu spode łba spojrzenia, w których można było wyczytać nieżyczliwą ciekawość.

Wreszcie znalazł blok o właściwym numerze i ruszył na dziewiąte piętro rozklekotaną windą. Nagle uderzyła go myśl, że Tonia mieszka tu sama i codziennie wraca do domu zmordowana po pracy na dwóch etatach, i zrobiło mu się nieprzyjemnie. Wąski korytarz wyłożony sfatygowanym linoleum, z jakąś absurdalną ilością drzwi po każdej stronie, zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Gdzieś płakało dziecko, gdzie indziej znów dudnił telewizor. Ktoś gotował bosko pachnące curry, wzbudzając tym zapewne zazdrość wszystkich sąsiadów z dziewiątego piętra. Drzwi prowadzące do mieszkania Toni były pomalowane na ciepły żółty kolor, a numer i nazwisko, wykaligrafowane pędzelkiem, zdobiły fantazyjne zawijasy. Pomyślał z podziwem, że niewiele jest osób, które nawet w tak niewdzięcznych okolicznościach potrafiłyby celebrować radość życia. Zapukał do drzwi, a gdy odpowiedziała mu cisza, poczuł nagłe bolesne ukłucie niepokoju.

Musiał ją zobaczyć. Teraz, zaraz. Musiał się przekonać, że wszystko z nią w porządku.

Kiedy po dłuższej chwili usłyszał ciche kroki i szczęk otwieranego zamka, poczuł obezwładniającą ulgę.

Nareszcie. Antonia Roberts stała przed nim, na wyciągnięcie ręki.

Chciał bez wstępów wziąć ją w ramiona, przycisnąć do siebie i całować jej twarz, sprawdzając wargami, czy na pewno dobrze zapamiętał jej rysy.

Chciał powiedzieć jej surowo, że nie powinna bez pytania otwierać drzwi obcym.

Nie zrobił nic, bo w następnej chwili dotarło do niego, że jest z nią naprawdę źle. Była przeraźliwie blada, twarz miała wychudzoną, a oczy, które wydawały się ogromne w wychudzonej twarzy, błyszczały niezdrowo, jakby była wycieńczona.

– Pan Kariakis…? – wyszeptała zaskoczona i odruchowo sięgnęła dłońmi do potarganych włosów. Ubrana była w za duże dla niej szare swetrzysko z rozciągniętym dekoltem, który odsłaniał jedno ramię i opadał niemalże do kolan. Jej kształtne łydki tonęły w grubych, wełnianych skarpetach. – Co pan tu robi? Czy coś się stało w rezydencji?

Chciał jej przypomnieć, że nie zwracała się do niego per „pan Kariakis”, kiedy krzyczała z rozkoszy w jego ramionach, ale zdołał tylko wychrypieć:

– Co ci jest?

– Potrzebuje mnie pan w pracy? – Nerwowym ruchem poprawiła sweter, zasłaniając ramię, i spojrzała na niego znękanym spojrzeniem. – Przepraszam. Z zasady nigdy nie biorę wolnego, ale…

– Ale teraz jest pani naprawdę chora – dokończył za nią.

– Przypuszczał pan, że symuluję? – Objęła się ramionami.

– Ależ skąd. – Leon wbił ręce w kieszenie niecierpliwym gestem. – Toniu. Wpuść mnie do środka.

Zawahała się, i miał wrażenie, że przez ułamek sekundy widzi w jej oczach nieśmiałą radość i całe morze tęsknoty. Ale potem zamrugała, zacisnęła pobladłe usta. W jej spojrzeniu było już tylko zmęczenie.

– Proszę, wejdź – powiedziała sztywno.

Mieszkanko było tak małe, że od wejścia można było objąć je wzrokiem – szafa przy wejściu służyła za garderobę, a jedyny pokój mieścił wnękę sypialną z rozkładaną kanapą, stół z dwoma wiklinowymi fotelami i kuchenny blat. Za wąskimi drzwiami z pewnością znajdowała się łazienka. Choć lokum rozmiarem niewiele się różniło od celi więziennej i urządzone było skromnie, żeby nie powiedzieć – biednie, jego mieszkanka zdołała sprawić, by wnętrze wyglądało wesoło i przytulnie. Nieco krzywe ze starości szafki kuchenne lśniły soczystymi barwami drewna, wysłużony blat był idealnie czysty. Na parapecie okna, ciągnącego się wzdłuż całej ściany przeciwległej do wejścia, tłoczyły się doniczki z kwiatami, a kanapa tonęła pod lawiną kolorowych poduszek. Leon zauważył, że nie było tu telewizora, tylko ogromna półka z książkami. Na stole stał duży kubek jakiegoś parującego napoju i otwarty laptop, a koc przewieszony przez oparcie jednego z foteli wskazywał, że tu właśnie siedziała Tonia, zanim przyszedł.

– Mam nadzieję, że nie planujesz odejść z pracy? – spytał, rozglądając się niepewnie dookoła. Z natury nie miał skłonności do histerii, ale w tym mieszkaniu wielkości pudełka od zapałek czuł się nieco klaustrofobicznie.

– Dlaczego miałabym… Podejrzewałeś, że zwolniłam się z powodu choroby, ale tak naprawdę szukam w tym czasie innego zajęcia? Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Zresztą, nawet gdybym dostała inną ofertę, nie chciałabym odejść z rezydencji. Bo to nie tylko praca, to też ludzie, do których jestem szczerze przywiązana.

– Nigdy nie wątpiłem w to, że jesteś zaangażowana i lojalna. – Nerwowym krokiem przemierzył malutkie wnętrze. – Po prostu zaniepokoiłem się, słysząc, że już trzeci dzień nie pojawiasz się w rezydencji. Przeszło mi przez myśl, że twoja nieobecność może mieć coś wspólnego z, hm, tym, co wydarzyło się między nami. Jeśli fakt, że tamta sytuacja zaistniała, miałby zrazić cię do pracy w rezydencji, to… – zaplątał się.

– Ależ ja się niczego nie wstydzę – rzuciła, dumnie unosząc podbródek. – Rozumiem, jak to działa w twoim świecie. Dwoje chętnych dorosłych, jedna noc, żadnych zobowiązań, żadnych sentymentów, pełna dyskrecja. Wiedziałam, na co się godzę, znam swoje miejsce i nie zamierzam ci się narzucać.

– Oczywiście, że nie. – Uśmiechnął się krzywo, widząc jej zaciętą minę. Dlaczego miałaby mu cokolwiek ułatwiać? To on zaczął tę grę, ona tylko zastosowała się do zasad. Nigdy dotąd ich nie kwestionował, ale teraz, gdy chodziło o Tonię, nagle wydały mu się one wyjątkowo idiotyczne.

Dlaczego mieli udawać, że nic ich nie łączy? Dlaczego Tonia nie mogła po prostu rzucić mu się na szyję? Dlaczego nie wolno mu było wziąć jej w ramiona i całować, tak jak tego pragnął?

Splótł ramiona na piersi, zakazując sobie podobnych myśli. Przeżyli jednorazową przygodę, i to wszystko. Fakt, że teraz nie potrafił zapanować nad wyobraźnią, stanowił najlepszy dowód, że ich wspólna noc była błędem, o którym powinien jak najszybciej zapomnieć. Tonia najprawdopodobniej zgadzała się z tym punktem widzenia, bo patrzyła na niego ciężkim wzrokiem, jakby nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdzie.

– Jestem wdzięczna, że postanowiłeś osobiście dowiedzieć się o mój stan zdrowia – ciągnęła nienagannie uprzejmym głosem – ale fatygowałeś

się niepotrzebnie. To zwykła grypa żołądkowa, najgorsze już minęło, ale jestem jeszcze osłabiona. Mam nadzieję, że nie złapiesz ode mnie tego wirusa.

– Byłaś u lekarza? – chciał wiedzieć.

– Nie, to zbyteczne. – Pokręciła głową. – Potrzebuję po prostu snu. Jutro będę w pracy. Przykro mi, że sprawiłam kłopot…

– Ależ skąd, żaden kłopot – pospieszył z zapewnieniem. – Wypoczywaj. I nie martw się, nie przyszedłem tu w żadnych, hm, zdrożnych celach.

– Oczywiście, że nie. – Zacisnęła usta. – Dziękuję za odwiedziny.

– Nie ma za co – powiedział sztywno. – Kiedy będziesz w formie, chcę cię widzieć w rezydencji. Zamierzam wprowadzić kilka zmian i chciałbym je z tobą omówić.

– Będę jutro z samego rana – powtórzyła. Nawet gdyby nadal czuła się źle, nie mogła sobie pozwolić na dłuższą nieobecność. Głupie choróbsko już i tak kosztowało ją posadę w sklepie. Właścicielowi nie spodobało się, że opuściła dwa wieczory. Ponoć już znalazł kogoś na jej miejsce, a że Tonia płacone miała za godziny, po prostu straciła pracę z dnia na dzień. Pocieszała się, że szybko znajdzie coś nowego, ale póki co etat w rezydencji był wszystkim, co miała. Musiała się go trzymać z całych sił. Musiała zarabiać pieniądze.

Zresztą, paskudne samopoczucie chyba rzeczywiście powoli mijało. Tego dnia nie obudziła się z potwornymi mdłościami i nie musiała pędzić do toalety, dręczona gwałtownymi atakami torsji. Ale wciąż czuła się zmęczona, jej ciało było dziwnie odrętwiałe, jakby w stanie nieważkości. Nie miała apetytu, już sam zapach jedzenia sprawiał, że żołądek podchodził jej do gardła. Za to spać mogłaby chyba całą dobę bez przerwy; głowę miała ciężką, pełną snu. I było coś jeszcze – z pewnością osłabienie spowodowane atakiem wirusa spowodowało, że czuła się krucha

i bezbronna. To była dla niej zupełna nowość; od tak dawna musiała być silna i zawsze jakoś dawała radę; pomagał jej w tym wrodzony animusz. Teraz zniknął bez śladu. Kiedy Leon stanął w progu jej ciasnego mieszkanka, przez moment poczuła niebotyczną ulgę. Był taki potężny, solidny jak skała. Pragnienie, by schronić się w jego ramionach, pozwolić, by się nią zaopiekował, omal jej nie zdławiło.

Ostatkiem sił zachowała trzeźwość umysłu. Nie chciała się ośmieszać. Ich rozmowa tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że postąpiła słusznie, nie ujawniając swoich uczuć. Podczas gdy ona widziała w nim… bliskiego człowieka, on traktował ją przede wszystkim jako pracownicę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Antonia! Jak to dobrze cię widzieć! – Joel rozpromienił się, gdy następnego ranka punktualnie o siódmej Tonia pojawiła się w recepcji.

– Ciebie też – wysapała, lekko drżącymi palcami odkręciła butelkę z wodą i pociągnęła długi łyk. – Co nowego w rezydencji?

– Wszystko w jak najlepszym porządku – pospieszył z zapewnieniem stażysta. – Pracujemy według systemu, który opracowałaś, więc sama najlepiej wiesz, że obsługa rezydencji idzie jak po maśle.

– A czy są już zamówione ozdoby… – zaczęła, sięgając po leżący na blacie kalendarz.

Nie zdołała dokończyć.

– Co ty tu robisz?! – huknął Leon, wielkimi krokami idąc przez hol.

– Przecież pan wie, że tutaj pracuję – wyprostowała się, a na jej blade policzki wypłynął jaskrawy rumieniec.

– Nie dzisiaj – uciął. – Proszę natychmiast wrócić do domu i położyć się do łóżka. Zaraz wezwę dla pani taksówkę.

Tonia poczuła, że wzbiera w niej bezradna złość. Dlaczego Leon uzurpował sobie prawo, żeby rządzić jej życiem? Nie miał pojęcia, jak ono wygląda, bogacz nie był w stanie zrozumieć jej problemów. Jeśli będzie się starał rozwiązać je za nią, narobi więcej szkody niż pożytku. Już choćby nieszczęsna taksówka była tego dowodem. Czy on naprawdę myślał, że stać ją na kurs taksówką do domu?!

– Joel, muszę cię na chwilę przeprosić. – Posłała stażyście wymuszony uśmiech i wycofała się do małego pomieszczenia biurowego. Nawet się za siebie nie obejrzała, żeby sprawdzić, czy Leon idzie za nią. Wiedziała, że na pewno to zrobi.

– Co ty sobie wyobrażasz? – naskoczyła na niego, gdy tylko drzwi się zamknęły.

– Toniu. – Wyciągnął do niej ręce i sama nie wiedziała, czy szczera troska malująca się w jego oczach bardziej ją drażni, czy wzrusza.

– Jak śmiesz… – prychnęła, ale straciła wątek, kiedy Leon bezceremonialnie objął ją ramieniem, ujął za podbródek i uniósł ku sobie jej twarz. Pomyślała z dreszczem, że zaraz ją pocałuje, ale on tylko przyglądał jej się uważnie, spod zmarszczonych brwi, nieprzeniknionym wzrokiem Cyborga.

– Wychudłaś. I nadal jesteś chorobliwie blada. Wyglądasz okropnie – stwierdził, dokonawszy inspekcji.

– Dzięki za komplement. – Skrzywiła usta. – Na szczęście piękny wygląd nie należy do moich obowiązków, natomiast dbałość o organizację życia w rezydencji, i owszem. Potrzebuję tej pracy. Czuję się dobrze. I nie życzę sobie, żebyś się wtrącał. Nie mam zwolnienia lekarskiego, więc nie możesz wysyłać mnie do domu, chyba że rozwiążesz ze mną umowę o pracę.

Wypuścił ją z objęć, tak nagle, że omal nie straciła gruntu pod nogami. Walcząc z nagłymi zawrotami głowy, ciężko oparła się o biurko.

Leon zaczął krążyć po malutkim pomieszczeniu, od drzwi do okna i z powrotem.

– Wydaje ci się, że jesteś niezależna – wyrzucił z siebie. – A tymczasem jesteś po prostu uparta. Uparta jak oślica!

Głośniej krzyczeć chyba nie mógł? Tonia aż się skurczyła w sobie na myśl, że Joel za kontuarem na pewno wszystko słyszał. Zaraz rozniesie się wśród personelu, że między nią a panem Kariakisem, za zamkniętymi drzwiami maleńkiego biura, doszło do burzliwej sceny, która brzmiała zupełnie jak kłótnia kochanków…

– Ciszej! – syknęła.

– Uciszasz mnie? – warknął, mrużąc oczy.

– Owszem, bo wrzeszczysz – odcięła się. – Wiesz co? Po prostu zostaw mnie w spokoju. Zajmij się zarabianiem kolejnych milionów, gdzieś na końcu świata!

– Ach, więc mam cię zostawić w spokoju? – Znów chwycił ją za ramiona. Miał dość. Odkąd zobaczył ją poprzedniego dnia, osłabioną i bladą, samotną w betonowej dżungli, nie mógł skupić myśli na niczym innym. W nocy nie zmrużył oka. O, nie, nie zamierzał zostawić jej w spokoju.

– Co ty… robisz? – wyjąkała, kiedy pochylił twarz ku jej twarzy. – Puść mnie natychmiast!

– Muszę ci się do czegoś przyznać – wymruczał, z ustami tuż przy jej ustach. – Jestem tępy, od dziecka. Nigdy nie nauczyłem się słuchać poleceń.

Nie słuchał, zwłaszcza jeśli zachowanie osoby wydającej polecenie przeczyło słowom. Rozchylone wargi Toni drżały, a w jej świetlistych oczach widział dojmującą tęsknotę. Pragnęła go; nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

On też nie mógł się na nią napatrzeć. Była tak zachwycająca, jak ją zapamiętał, ale teraz wydawała się też niepokojąco krucha. Zbyt krucha. Zniknął gdzieś jej animusz, ta pełna optymizmu energia, którą potrafiła zarazić wszystkich wokół. W jego ramionach była bezbronna.

– Leon – wyszeptała, kręcąc głową, jakby nie miała siły dłużej mu odmawiać.

Poleceń może i nie słuchał, ale był wierny zasadzie, że jeśli kobieta mówi „nie”, to znaczy „nie”. Cofnął się, wbił ręce w kieszenie, o mało nie rozrywając materiału. Nie mógł jej pocałować, skoro wyraźnie prosiła, by tego nie robił. Nie mógł, choć czuł, że przestrzeń między nimi jest naładowana skrywanym pożądaniem jak burzowa chmura elektrycznością.

– A więc niczego ode mnie nie chcesz? – Zacisnął szczęki.

– Po prostu nie przeszkadzaj mi pracować – zebrała się w sobie i ruszyła do wyjścia. – Mam huk roboty.

Dlaczego ciągle czuła się tak strasznie zmęczona? Spała jak zabita przez kilkanaście godzin, ale to nic nie pomogło. Nie miała pojęcia, jak zdoła zrobić generalne porządki w garderobie panny Autumn.

Cóż, będzie sobie musiała jakoś poradzić. Powolutku, krok po kroku. Najpierw powstrzyma jakoś te głupie zawroty głowy i dobrnie do windy…

– Panno Roberts? Toniu? – Joel pospieszył za nią, kiedy chwiejnie przeszła obok kontuaru recepcji. – Źle się czujesz? Może kawy? Właśnie zaparzyłem.

– Nie, dziękuję, nie trzeba. – Chciała się uśmiechnąć, ale wargi miała dziwnie zdrętwiałe, jakby odpłynęła z nich cała krew. Mdlący zapach kawy wypełnił jej gardło, niemal dławiąc. Nagle rzeczywistość dziwnie zmętniała, naparła na nią, jakby chciała ją zgnieść. W uszach słyszała huk, światła oślepiły ją, a potem rozmyły się we mgle. Nagle zobaczyła Leona, który pędził ku niej jak sprinter. Dlaczego mu się teraz tak śpieszy, skoro przez trzy tygodnie nie chciał mnie widzieć? – pomyślała i zapadła w ciemność.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Toniu!

Zamrugała.

Co to było, to coś, co nad sobą widziała? Żyrandol? Miał takie zabawnie błyszczące kryształowe ozdoby, ale nie mogła powiedzieć, by był kiczowaty. Czy przypadkiem już go gdzieś nie widziała?

– Toniu!

Ktoś ją wołał. Ten głos… był najpiękniejszy na świecie. Mocny, rozkazujący, ale też pełen miękkich nut, w których wyraźnie brzmiała troska. I miłość.

Miłość?

Zamrugała jeszcze raz, podniosła głowę. Leżała? Nie mogła leżeć, przecież była w pracy. Musiała jak najszybciej…

– Leż, nie ruszaj się!

Ach, oczywiście. To Leon. Czy naprawdę jeszcze przed chwilą zdawało jej się, że jego głos jest pełen miłości? Musiała się przesłyszeć. Był po prostu zniecierpliwiony.

– Co ja robię w twoim apartamencie? – spytała podejrzliwie, podrywając się do pozycji siedzącej. Dlaczego leżę na twojej sofie?

– Dlatego, że zemdlałaś w holu mojej rezydencji – padła odpowiedź. Leon, który klęczał przy wezgłowiu, podniósł się także. Nie miał na sobie marynarki. Dopiero po chwili zauważyła, że była nią okryta. A więc straciła

przytomność, a on, on… chwycił ją w ramiona, okrył swoją marynarką, na rękach zaniósł do siebie na górę. Wszystko to, oczywiście, na oczach personelu. Plotkom nie będzie końca.

– Trzeba było… – zaczęła, ale przerwał jej, wyrzucając ręce w powietrze gestem człowieka doprowadzonego do ostateczności.

– Trzeba było już wczoraj zawlec cię siłą do lekarza!

– Nie potrzebuję żadnego lekarza. Muszę…

– Musisz grzecznie poleżeć. Poczekasz tu na panią doktor. Zadzwoniłem po najlepszą specjalistkę, jaką znam. Mam do niej pełne zaufanie. Zbada cię, zaordynuje jakieś leki i wszystko będzie dobrze.

– Jeżeli myślisz, że możesz mi rozkazywać, to się grubo mylisz! – Posłała mu spojrzenie pełne gniewnego uporu. – Wracam do recepcji.

– Wracaj, wracaj. O ile oczywiście chcesz, żebym przyszedł tam, złapał cię za fraki, przerzucił przez plecy i przyniósł tu z powrotem. Przysięgam na wszystkie świętości, że właśnie tak zrobię, nawet jeśli wszyscy nobliwi lokatorzy rezydencji będą stać i patrzeć – oświadczył zimno.

– Lepiej się do mnie nie zbliżaj. – Podciągnęła kolana pod brodę, oplotła je ramionami. – Prawdopodobnie zarażam. Chyba nie chcesz tego złapać?

– Dzięki za ostrzeżenie, ale chyba już to złapałem – wymruczał, siadając obok niej.

Nie odpowiedziała, zagubiona w jego ciemnym, nieprzeniknionym spojrzeniu. Kiedy pochylił się ku niej, z cichym westchnieniem rozchyliła usta.

Poczuła ciepło jego oddechu, pierwsze muśnięcie jego warg przeszyło ją dreszczem. Zarzuciła mu ramiona na szyję w tej samej chwili kiedy on, posyłając rozsądek do wszystkich diabłów, przygarną ją do siebie z całą siłą zbyt długo tłumionego pożądania.

– Toniu, najdroższa. – Całował ją gorączkowo, zachłannie, jak topielec, któremu wreszcie dane jest chwycić oddech.

– Leon – szeptała, odwzajemniając pocałunki. – Mój ukochany…

Ktoś energicznie zapukał do drzwi. Odskoczyli od siebie jak dwójka dzieciaków przyłapanych na psocie.

Tonia siedziała na sofie nieruchomo, z dłońmi splecionymi na kolanach, patrząc, jak Leon otwiera drzwi. Padło kilka zdań po grecku i do apartamentu energicznie wkroczyła wysoka, ciemnowłosa kobieta. Niosła sporych rozmiarów walizę z taką swobodą, jakby to było piórko.

– Toniu, przedstawiam ci panią doktor Notaras. Ismeno, to jest panna Roberts – dokonał prezentacji Leon.

– Bardzo mi miło, ale nie ma potrzeby… – zaczęła Tonia, zrywając się na równe nogi.

– Chyba jednak jest potrzeba – odparła lekarka, posyłając jej uważne spojrzenie spod zmarszczonych brwi. – Leonie, mój drogi, przyda nam się trochę prywatności.

– Skorzystajcie z sypialni, obok jest łazienka. Nie będę przeszkadzał, mam kilka spraw do załatwienia. W razie czego będę w gabinecie – powiedział szybko. Tonia pomyślała z nagłym rozbawieniem, że Leon chyba czuje respekt przed panią doktor. I słusznie. Greczynka miała dobre metr osiemdziesiąt wzrostu i posturę Artemidy.

– Tonia? – Doktor Notaras uśmiechnęła się krzepiąco, otwierając drzwi do sypialni.

– Antonia – odpowiedziała z godnością. – Dziękuję, że zechciała się pani mną zająć.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Ismena. – Greczynka bezceremonialnym ruchem odsunęła ustawione na blacie komody bibeloty,

robiąc miejsce na swoją walizę. Otworzyła ją i zaczęła wyciągać medyczne przyrządy, a potem sprawnie przystąpiła do badania.

– Nie masz gorączki, w gardle ani w uszach nie widać żadnych oznak infekcji. Oskrzela i płuca czyste. Ciśnienie znakomite; z takim mogłabyś lecieć w kosmos. Puls lekko przyspieszony, ale to akurat można łatwo wyjaśnić pewnymi okolicznościami. – Pani doktor uśmiechnęła się, kiedy Tonia spuściła wzrok. – Reasumując, można stwierdzić, że jesteś okazem zdrowia, a jednak dręczą cię dolegliwości, które opisałaś. Nudności, senność, ciągłe zmęczenie. Zawroty głowy, nadwrażliwość na zapachy. No i utrata świadomości. Czy cierpisz na jakieś choroby przewlekłe?

– Nie, na szczęście nie.

Miała siostrę na utrzymaniu. Nie mogła, po prostu nie mogła chorować.

– Zaraz pobiorę ci krew, ten tu przenośny zestaw to prawdziwe cudeńko, ma nawet panel do analizy. Możemy też zrobić badanie serca. Ale zanim do tego przejdziemy, powiedz mi, proszę, czy istnieje możliwość, że po prostu jesteś w ciąży?

– Ja…

Ismena pochylała się nad otwartą walizką, kalibrując skomplikowaną maszynerię, a Tonia próbowała otrząsnąć się z szoku. Ona w ciąży? To było niedorzeczne. Absolutnie niemożliwe.

Czyżby?

Jej przerażony wzrok powędrował w stronę uchylonych drzwi łazienki, ku ogromnej wannie. A potem ku łożu rozmiarów lotniskowca. Nie potrafiła policzyć, ile razy kochali się tamtej nocy. Tamtej jedynej, niesamowitej nocy, która wciąż powracała do niej w snach, choć robiła wszystko, żeby o niej zapomnieć. Tamtej nocy… Ale przecież używali zabezpieczenia, prawda? Za każdym razem…?

– Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę? – spytała lekarka, wciąż zajęta regulowaniem aparatury.

– Kiedy…? Ojej. Musiałabym zajrzeć do notesu, ale chyba pięć tygodni temu. Okres często mi się spóźnia, jak jestem przepracowana.

– Wobec tego najlepiej będzie, jeśli zaraz zrobimy test ciążowy. Zanim przepiszę ci jakąkolwiek kurację, muszę najpierw mieć pewność, czy leczę jedno, czy dwoje. – Ismena uśmiechnęła się dziarsko, sięgnęła do kieszonki walizki i wyjęła niewielką saszetkę. – Weź to, proszę, i idź do toalety. O ile zdołasz wycisnąć z siebie kilka kropel moczu, odpowiedź będziemy miały za pięć minut. Potem będę mogła potwierdzić wynik testem z krwi.

Tonia zacisnęła palce na małym plastikowym opakowaniu i posłusznie ruszyła do łazienki. Czuła się jak robot przystępujący do wykonania zadania, które wpisano w jego program. Oddać mocz na chłonną końcówkę plastikowego, podłużnego przedmiotu. Położyć przedmiot na płaskiej powierzchni. Odczekać pięć minut. Odczytać wynik.

Okienka testu powoli zmieniały kolor, nasączone wilgocią. Wystarczyła minuta, by pojawiła się jedna kreska. A zaraz potem druga. Tonia patrzyła na mały przedmiot i czuła, jak potężny paraliż odejmuje jej władzę w nogach, potem w rękach i wreszcie zaciska się na gardle, niemal dławiąc oddech. Nie była w stanie się poruszyć ani wydać najcichszego nawet głosu. Przerażonym wzrokiem usiłowała przeczytać instrukcję na opakowaniu testu, ale litery skakały jej przed oczami. Wiedziała zresztą dobrze, co tam jest napisane.

Jedna kreska – nie jesteś w ciąży.

Dwie kreski – jesteś w ciąży.

Wiarygodność testu – powyżej dziewięćdziesięciu dziewięciu procent.

Była w ciąży. Znaczenie tego stwierdzenia wciąż do niej nie docierało; odgrodziła się od niego barykadą zaprzeczeń. Miała swoje sprawy, swoje obowiązki, swoje problemy. Ciąża? Nie, na pewno nie. Nie w tym życiu.

– Antonio? Czy wszystko w porządku? – W głosie doktor Notaras brzmiało zaniepokojenie.

Ciągle sztywna jak robot, zmusiła się, by wstać, poprawić ubranie i podejść do drzwi. W drżących palcach trzymała test ciążowy.

– Nie… nie wiem – wyjąkała łamiącym się głosem.

Lekarka, nie bawiąc się w ceregiele, wyjęła mały podłużny przedmiocik z jej dłoni, zerknęła w okienka testowe.

– Widzę, że mamy wyjaśnienie twojego samopoczucia – powiedziała lekko. – Początek ciąży to często dla kobiety prawdziwa jazda bez trzymanki.

– Nie, to musi być pomyłka. – Tonia splotła dłonie tak mocno, że pobielały jej palce. – Na teście jest napisane, że prawdopodobieństwo wynosi tylko dziewięćdziesiąt dziewięć procent, więc wcale nie ma pewności…

Greczynka objęła ramiona dziewczyny krzepiącym uściskiem.

– Usiądź, proszę. Widzisz, test może się mylić, pokazując wynik negatywny, kiedy tak naprawdę kobieta jest w ciąży. Ale wynik pozytywny nigdy nie jest błędny, bo wykrywa hormony produkowane przez łożysko.

– To była jedna noc. – Tonia przestała nerwowo splatać dłonie i przycisnęła palce do drżących ust. – To miała być jednorazowa… przygoda. Taka była między nami umowa. Żadnych zobowiązań.

– Cóż, matka natura nic sobie nie robi z tego typu umów, o ile uzna, że z jej punktu widzenia to dobrana para i właściwy czas – powiedziała filozoficznie lekarka.

– Ale przecież używaliśmy zabezpieczenia! Leon… – Tonia urwała i mocniej przycisnęła palce do ust.

– Ach. Leon.

– On się nie może o niczym dowiedzieć! – wyrzuciła z siebie Tonia, nerwowo zerkając w stronę drzwi.

– Ode mnie na pewno się nie dowie. – Ismena nadal obejmowała dygoczące ramiona Toni. – Jesteś moją pacjentką i obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Skoro mówisz o jednej nocy, to znaczy, że nie tylko wiesz, kto jest ojcem, ale możesz też podać datę poczęcia.

– Oczywiście, że wiem, kto jest ojcem! – Oburzenie wzięło górę nad szokiem. – Wyobrażam sobie, co musi pani o mnie myśleć. Jestem tylko konsjerżką, a Leon, to znaczy pan Kariakis… – zaplątała się. – Proszę pani, ja nie mam czasu na mężczyzn. I z reguły unikam tego typu przygód. To był zupełny wyjątek. Zdecydowałam, że ten jeden, jedyny raz złamię zasady, podaruję sobie chwilę szaleństwa. Na nic więcej nie liczyłam, niczego nie chciałam. Następnego ranka po prostu wróciłam do pracy, a on wyjechał. Między nami wszystko było skończone.

– Po pierwsze – powiedziała spokojnie Greczynka – miałaś mi mówić po imieniu. Po drugie, zaraz ci powiem, co o tobie myślę. Pozwól tylko, że pobiorę ci krew i zrobię podstawowe badania.

– Ale to przecież potrwa…

– Owszem, całe pięć minut. Podaj mi rękę, Toniu. – Ismena przetarła watką ze spirytusem skórę we wgłębieniu jej łokcia, umieściła igłę na strzykawce, odnalazła żyłę szybkim, oszczędnym, niemal bezbolesnym ukłuciem. – Nie patrz, a jeżeli poczujesz, że robi ci się słabo, opuść głowę pomiędzy kolana – zakomenderowała.

Nie minęło kilka sekund, a było po wszystkim.

– Teraz niech maszyna sobie popracuje. – Lekarka umieściła próbówkę we wnętrznościach skomplikowanej maszynerii, wyjęła pipetę, wpuściła po kilka kropli krwi do okienek z odczynnikami. – My tymczasem pójdziemy na zasłużoną filiżankę czegoś gorącego.

– Apartament jest zaopatrzony w bogaty wybór herbat, w tym w mieszanki ziołowe – wyrecytowała Tonia słabym głosem.

– Świetnie. Zaraz zrobimy w nich kipisz. – Greczynka uśmiechnęła się szeroko, podała rękę swojej pacjentce i zaprowadziła ją do salonu. Ku ogromnej uldze Toni Leona nie było. Zupełnie nie wiedziała, jak miałaby spojrzeć mu w oczy.

Dokładnie pięć minut później doktor Notaras, z parującym kubkiem w dłoni, pochylała się nad ekranem komputera, czytając wyniki. Tonia popijała małymi łykami napar z kwiatów lipy i korzenia imbiru. Czuła, że powoli, bardzo powoli wraca do jakiej takiej równowagi.

– No więc, co o mnie myślisz?

– Wyniki badań krwi, jak na pierwszy trymestr ciąży, masz wręcz podręcznikowe. Jesteś zdrową i silną kobietą. Może właśnie dlatego przez ostatnie dni czułaś się tak parszywie; twoje ciało wzięło się ostro do pracy, żeby przygotować się na dziecko. Wiem, że wiadomość o ciąży cię zaskoczyła, ale muszę powiedzieć, że z medycznego punktu widzenia to dla ciebie idealny moment na macierzyństwo. Zbyt wiele widziałam kobiet, które odkładały to na święty nigdy, a potem rozpaczliwie walczyły z problemami z płodnością, by milczeć w takiej sytuacji. Oczywiście, to czysto profesjonalna opinia…

– Będę miała dziecko. – Tonia podeszła do okna, oparła się o parapet, zapatrzyła w jasny błękit jesiennego nieba. – Będę miała dziecko.

Nagły szloch wstrząsnął jej ciałem. Poddała mu się, czując, że paraliż zmęczenia, niepewności i strachu ustępuje, jakby jej własne małe trzęsienie ziemi rozbiło w pył skorupę, która ją więziła. Odetchnęła głęboko, pozwoliła, by przeniknęła ją płomienna, uwalniająca radość. To było tak, jakby w jej wnętrzu zaświeciło słońce.

Czułym gestem położyła dłonie na brzuchu i zaczęła śmiać się jak wariatka. Bo i wariatką musiała chyba być. Właśnie się dowiedziała, że zaszła w ciążę ze swoim pracodawcą, z człowiekiem, który należał do innego świata i lada dzień zniknie na zawsze z jej życia. Nie miała pojęcia, jak zdoła płacić czynsz za wynajmowaną kawalerkę, dotrzymać obietnic danych siostrze i jeszcze do tego wychować dziecko. Nie posiadała absolutnie żadnego życiowego zabezpieczenia, była sama wobec świata…

Nie, właśnie że nie była już sama. W schronieniu jej ciała rósł ktoś, jeszcze zupełnie jej nieznany, ale przecież niewypowiedzianie bliski. Ktoś, kogo właśnie zaczynała kochać dziką, bezrozumną i nieodwołalną miłością instynktu, miłością, która za nic miała wszelkie racjonalne obawy.

– Trzymaj się tam, Groszku – powiedziała bezgłośnie wargami, które wciąż się śmiały. – Trzymaj się i o nic się nie martw, mama na pewno sobie poradzi.

– Owszem, będziesz miała dziecko. – W oczach Ismeny błysnął podziw, gdy zobaczyła, jak drobniutka konsjerżka w przeciągu minuty przechodzi od bezradnego przerażenia do tej słodkiej i odpornej na prozę życia radości, jaką daje niewidzialna więź matki z dzieckiem. – Połóż się, podam ci wzmacniającą kroplówkę, po której zaraz poczujesz się lepiej. A potem będziesz grzecznie łykać witaminy, które ci przepiszę, i zadbasz o w miarę spokojny tryb życia. Gwarantuję, że przez najbliższe miesiące będziesz mogła pracować w pełnym wymiarze godzin, tylko bez dźwigania ciężarów i narażania się na toksyczne substancje. Na pierwsze USG powinnaś się

zgłosić za kilka tygodni. I proszę cię – tu Greczynka ujęła Tonię za ramiona i z bliska spojrzała jej w oczy swoim mocnym, ciemnym spojrzeniem – pozwól mi poprowadzić tę ciążę. Jestem co prawda internistą, ale chciałabym osobiście przywitać na świecie twoje dziecko.

– Bardzo dziękuję, ale nie sądzę, żeby było mnie stać na twoje usługi.

– O nic się nie martw. – Ismena lekceważąco wzruszyła ramionami. – Nie chcę od ciebie forsy i niech to zostanie między nami, dziewuchami.

– Przede wszystkim Leon nie może się o niczym dowiedzieć – powtórzyła Tonia. – Jeśli już rozmawiamy między nami, dziewuchami… nie chcę, by czuł się do czegokolwiek przymuszony. Spędziliśmy ze sobą jedną noc, a potem on wyjechał bez słowa. Nie jestem aż tak naiwna, żeby nie rozumieć, jak mam interpretować jego zachowanie.

– Masz moje słowo, że Leon się ode mnie niczego nie dowie – ponowiła zapewnienie lekarka. – Zresztą, gdybym złamała tajemnicę lekarską, mogłabyś mnie zaskarżyć, a tego nie zaryzykuję. Ale pozwól sobie powiedzieć…

– Tak?

– Znam Leona od dziecka, jest dla mnie jak brat. To człowiek ulepiony z solidnej gliny. Nie musisz go bronić przed tym, co przyniosło mu życie.

– Dziękuję, że mogę liczyć na twoją dyskrecję. – Tonia rozmyślnie nie podjęła tematu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Co jej jest? – Leon dogonił Ismenę na podjeździe, gdy ta wielkimi krokami zmierzała do samochodu, dziarsko wymachując swoją wielką, lekarską walizą.

Greczynka otworzyła bagażnik, ułożyła w nim sprzęt, zatrzasnęła klapę i oparła się o nią z westchnieniem.

– Coś poważnego? – przeraził się.

– Owszem, można tak powiedzieć, ale to dość powszechna przypadłość.

– Przestań się bawić ze mną w zagadki, Is! – natarł na nią. – Mów dokładnie, co jej dolega.

– Nie mogę. – Potrząsnęła głową. – Zostałam zobowiązana do zachowania tajemnicy lekarskiej. Wystarczy, jeśli ci powiem, że nie cierpi na żadną zaraźliwą chorobę. Panna Roberts jest zdolna do pracy, choć może odczuwać osłabienie. Będzie musiała zacząć się oszczędzać. I, Leon, po starej znajomości...

– No, wreszcie zaczynasz mówić do rzeczy! Co mam robić?

– Zadbaj o nią – powiedziała z żarem, pochylając się ku niemu. – Zaopiekuj się nią. Będzie tego potrzebowała.

Kroplówka rzeczywiście pomogła. Pomogło też to, że teraz rozumiała, dlaczego własne ciało płata jej takie brzydkie figle. Miała zostać mamą. Zawroty głowy i fale mdłości to prawdopodobnie nic wielkiego w porównaniu z nieprzespanymi nocami, z którymi przyjdzie jej się

zmierzyć, kiedy jej dziecko będą dręczyć kolki… Jej dziecko! Tonia układała kreacje panny Autumn w ogromnej garderobie, dobierając stroje kolorami, krojami i fakturami materiału, tak jak jej zleceniodawczyni lubiła. I śpiewała. Kiedy myślała o dziecku, nie mogła się powstrzymać od śpiewania. Coś dziwnego stało się z jej pamięcią – zdawało jej się, że słyszy zamilkłe przed wielu laty echo kołysanek, które śpiewała jej matka. Chyba nigdy nie czuła się związana z nią tak blisko, jak w tej chwili. Przez te wszystkie lata, kiedy miała jej za złe naiwność, kiedy uważała, że mama była żałosna, skazując się na samotne rodzicielstwo, nie rozumiała absolutnie nic. Teraz zaczynała doceniać jej niezłomną życiową odwagę. Podczas gdy mężczyźni byli przekonani, że ich dokonania, plany i interesy są najważniejsze pod słońcem, kobiety robiły swoje. Dbały o ludzi. Rodziły dzieci.

– Toniu, musimy porozmawiać.

Jedwabna apaszka wypadła jej z rąk, kiedy dostrzegła ciemną, wysoką postać stojącą w drzwiach apartamentu panny Autumn.

Leon.

– Tak, panie Kariakis?

– Proszę cię, daj sobie spokój z tą szopką – powiedział niemal opryskliwie. – Chyba możemy rozmawiać jak dwoje bliskich sobie ludzi?

– Chcesz powiedzieć, jak dwoje ludzi, którzy przeżyli jednorazową przygodę bez zobowiązań? – poprawiła go.

– Lepiej będzie, jeśli w ogóle zapomnimy o tamtej nocy – rzucił z rozdrażnieniem. – Widzę teraz, że to jednak był błąd.

– Błąd? – W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie dotknąć brzucha.

– Tak, błąd. Zależy mi na sprawnym funkcjonowaniu rezydencji, a konflikty i resentymenty między nami zupełnie temu nie sprzyjają. Proszę

cię, bądźmy poważni. Przyjdź do mojego biura, kiedy skończysz… to tutaj. – Szerokim gestem wskazał pstrokate morze wciąż nieposortowanych fatałaszków, odwrócił się na pięcie i zniknął.

Oto, jak postępują mężczyźni. Udają poważnych, udzielają napomnień. Sprawiają wrażenie, że im zależy. A potem odchodzą – Tonia miała wrażenie, że w myślach słyszy głos mamy. Cóż, ostrzeżony – uzbrojony. Nie miała zamiaru oglądać się na żadnego mężczyznę. Poradzi sobie sama. Pozostanie niezależna, nawet jeśli miałaby sobie urobić ręce po łokcie.

Po drodze do biura Leon zatrzymał się w recepcji. W godzinach popołudniowych dyżurowała tu krótko ostrzyżona, kompetentnie wyglądająca brunetka.

– Miło pana widzieć, panie Kariakis.

– Glorio, proszę, mów mi po imieniu – powiedział z roztargnieniem, opierając się o kontuar. – Pracujesz tu od sześciu lat, prawda? Jaka jest twoja opinia o Antonii Roberts?

– Moja opinia? – Brunetka zastanowiła się chwilę. – Cóż, wystawiłabym jej ocenę celującą. Antonia została zatrudniona tu pięć lat temu. Zaczynała jako zwykła stażystka, od najprostszych zadań. Ale nie minął rok, a okazało się, ile potrafi. Ta dziewczyna ma komputer w głowie, niesamowitą wyobraźnię i naprawdę mnóstwo empatii. Myśli szybko, podejmuje trafne decyzje i, co najważniejsze, szczerze kocha to miejsce. Odkąd promowano ją na stanowisko konsjerżki, opracowała system zarządzania rezydencją, który działa bez pudła. Od razu wzrosła efektywność, spadły koszty, a mieszkańcy poczuli, że ktoś naprawdę liczy się z ich potrzebami. Wcześniej zawsze było kilka wolnych apartamentów, ale odkąd Antonia faktycznie przejęła stery, stale mamy komplet.

– Ten system… czy mógłbym rzucić na niego okiem?

– Oczywiście. Każdy z nas ma kopię. To taka nasza biblia – uśmiechnęła się Gloria. – Proszę, tu jest mój egzemplarz. Wiem, że nie wygląda imponująco, ale bez niego byśmy się wszyscy pogubili.

Leon sięgnął po plik zalaminowanych kartek. Był pewien, że zobaczy jakiś wydruk, grafik albo tabelę, ale była to tylko fotokopia ręcznego pisma Toni. Pracowicie spisane listy zadań oraz wydatków i terminów, w porządku rocznym, miesięcznym, tygodniowym i dziennym, a także w odniesieniu do każdego z lokatorów. Dla większości ludzi byłaby to raczej nudna lektura, ale Leon dostatecznie długo studiował zarządzanie, by wiedzieć, że trafił na coś wyjątkowego. Samorodny talent. Gdyby Antonię Roberts było stać na studia, gdyby posiadała kapitał wyjściowy pozwalający rozszerzyć działalność, wzięłaby szturmem rynek nieruchomości. Zatopiony w myślach, przebiegał wzrokiem równiutkie linie, układające się w rozkosznie logiczną, graficznie przejrzystą kompozycję. Litery, które kreśliła, były takie, jak ona sama – kształtne, miłe dla oka, kipiące werwą. Czy powinien uznać, że coś jest z nim nie w porządku, jeśli sam widok jej odręcznego pisma budził w nim zupełnie jednoznaczne emocje? Obawiał się, że tak.

– Dziękuję, Glorio. – Odłożył zalaminowane kartki na blat kontuaru tak gwałtownie, jakby sparzyły go w palce. – Jeśli zobaczysz pannę Roberts, przypomnij jej, że czekam na nią w biurze.

– Chciałeś mnie widzieć. – Tonia ostrożnie przestąpiła próg biura, jakby wchodziła na pole minowe. – Mogę w czymś pomóc?

– Właściwie to ja chciałbym w czymś pomóc tobie – powiedział rzeczowo, podnosząc się zza biurka. – Widzisz, ostatnio wiele o tobie myślałem. Jesteś bardzo zdolną osobą. Zdążyłem się przekonać, że dzięki

tobie rezydencja kwitnie. Martwi mnie, że masz kłopoty zdrowotne. Wiedz, że w żaden sposób nie wpływają one na moją ocenę twoich kompetencji.

Tonia zamrugała, nie przerywając jego przemowy. Cyborg powrócił, pomyślała, walcząc z rozbawieniem.

– Chciałbym zainwestować w twój osobisty rozwój. – Leon wyraźnie zapalił się do tematu. – Powinnaś kontynuować naukę…

– Sugerujesz, że jestem niedouczona? – Ujęła się pod boki. Nie czuła już rozbawienia.

– Ależ skąd! – Uniósł dłonie obronnym gestem. – Po prostu widzę w tobie potencjał, który szkoda zmarnować.

– A więc myślisz, że jeżeli nie powiesz mi, co mam robić, to się zmarnuję? – spytała, mrużąc oczy.

Pokręcił głową, zupełnie zdezorientowany. Co się między nimi działo? Dlaczego wszystko, co mówił, rozumiała opacznie?

– Posłuchaj – zaczął jeszcze raz, powoli ważąc słowa. – Bardzo cię cenię. Uważam, że masz ponadprzeciętne zdolności, których nie wykorzystujesz w pełni, wykonując pracę zwykłej konsjerżki. W dodatku wiem, że masz zobowiązania rodzinne, a do tego doszły teraz kłopoty zdrowotne. Proszę cię, pozwól mi się tobą zaopiekować.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa i byłby przysiągł, że widzi w jej oczach łzy tęsknoty.

– Toniu… – Wyciągnął do niej ręce.

– Nie. – Zacisnęła powieki. Kiedy znowu na niego spojrzała, wzrok miała zimny. – Nie chcę, żebyś się nade mną litował. Wiem, że bogacze miewają takie hobby, ale nie zamierzam być przedmiotem niczyich szlachetnych, filantropijnych wyczynów. I zupełnie nie wiem, dlaczego nagle czujesz się uprawniony, żeby urządzać mi życie.

– Nie rozumiem… – zaczął, ale mu przerwała.

– Wiem, że nie rozumiesz. I właśnie na tym polega problem.

Chciał spytać, jaki znowu problem. Czemu kobiety zawsze widziały problemy tam, gdzie chodziło po prostu o normalne sprawy do załatwienia? Usłyszał jej ciche westchnienie i zmilczał. Pewnie nie czuła się dobrze.

– W porządku, zapomnijmy o tej rozmowie – powiedział szorstko. – Teraz wrócisz do domu, położysz się i grzecznie zażyjesz wszystkie leki, które przepisała ci doktor Notaras. Pojedziesz samochodem; szofer będzie czekał na ciebie przed rezydencją za kilka minut.

– Ale…

– Żadnych „ale”. I jutro nie przychodź do pracy przed dziesiątą. Poranne zastępstwo jest już załatwione, więc o nic się nie martw.

– Nie możesz…

– Mogę. I wiesz co? Jeżeli nie zastosujesz się do moich poleceń, jutro na biurku znajdziesz zwolnienie dyscyplinarne.

– Tak jest, szefie. – Posłała mu nieszczery uśmiech. Wiedziała oczywiście, że blefuje, ale nie zamierzała ciągnąć w nieskończoność tej wymiany zdań, która prowadziła donikąd. W głębi serca była mu wdzięczna – wizja powrotu do domu wygodnym autem i długiego snu bez konieczności zrywania się przed szóstą rano nieodparcie kusiła.

– Dziękuję – wyszeptała i wyszła. Przebrała się w pomieszczeniu służbowym, zamieniła kilka słów z Glorią i ruszyła na parking. Niechciane, głupie łzy znów zapiekły ją pod powiekami. Nie wątpiła, że Ismena Notaras miała rację, mówiąc, że Leon Kariakis jest dobrym człowiekiem. Niestety, ją, Tonię, traktował w najlepszym wypadku jak swoją protegowaną. A jej ta rola nie odpowiadała.

Jeśli nie mogła mieć jego miłości, niczego od niego nie chciała.

Na szczęście Leon zniknie z rezydencji, gdy tylko zawrze umowę z dzierżawcą. Wolała nie widywać go wcale niż patrzeć na niego i czuć tę

głupią, bezsensowną tęsknotę, która doprowadzała ją do łez.

Niektóre rzeczy zdarzały się tylko w bajkach, i tyle.

Leon nalał szklaneczkę whisky, rozłożył na biurku księgi rachunkowe rezydencji i powiedział sobie twardo, że powinien zabrać się do pracy. Zaczął przebiegać wzrokiem kolumny cyfr. Wytrzymał niecałą minutę. Zerwał się z fotela i zaczął krążyć po gabinecie, rzucając ku księgom spojrzenia pełne niechęci. Zupełnie jak uczniak, który nie jest w stanie zmusić się do odrabiania lekcji. Wreszcie uznał, że nic z tego nie będzie. Wychylił whisky jednym haustem, z trzaskiem odstawił szklankę na biurko i wyszedł z apartamentu. Tylko jedna rzecz mogła choć trochę ukoić dręczący go niepokój. Po chwili pukał już do drzwi opatrzonych nazwiskiem Cavendish.

– Dobry wieczór, przepraszam, że niepokoję państwa o tej porze – wyrecytował, gdy lokatorzy, ubrani w luźne domowe stroje, stanęli w progu.

– Pan Kariakis? Ależ nic się nie stało, godzina jeszcze młoda. Czym możemy służyć?

– Bardzo chciałbym zabrać Kamyka na krótki spacer.

– O-oczywiście. – Starsi państwo spojrzeli po sobie, niezdarnie usiłując ukryć zdumienie. – Kamyk! Masz gościa!

Piesek przybiegł zaraz, z zabawnym odgłosem stukających o parkiet pazurków. Leon kucnął, a Kamyk dopadł do niego, radośnie merdając ogonem.

– Witaj, przyjacielu. – Podrapał futrzaka za uszami, dziwnie wzruszony faktem, że pies go rozpoznał. – Chodź, dotrzymasz towarzystwa samotnemu staremu kawalerowi. Odprowadzę go za pół godziny, dobrze?

Ujął smycz i, odprowadzany niepewnymi uśmiechami nowych opiekunów Kamyka, wyszedł w jesienną noc, rozświetloną blaskiem ulicznych lamp. Pies, wyraźnie zadowolony, dreptał niespiesznie, obwąchując słupki, latarnie i pnie drzew napotkane po drodze, Leon wlókł się za nim, zagubiony w myślach. Mimowolnie wracał wspomnieniami do chwili, gdy zobaczył Kamyka po raz pierwszy – w zaborczych objęciach drobnej i nie na żarty rozsierdzonej kobietki. Ależ na niego wtedy naskoczyła! Był zagorzałym racjonalistą, ale przecież dobrze pamiętał moment, gdy połączyło ich coś, czego nie umiał nazwać. Jakby przepłynął między nimi potężny strumień energii. Nie chciał roztrząsać, co potem poszło nie tak. Fakty mówiły same za siebie – Tonia, owszem, pragnęła go, ale to było o wiele za mało, skoro ani tego pragnienia, ani jego samego nie chciała. Oczywiście, że musiał popełnić jakiś błąd wobec niej i oczywiście nie miał pojęcia jaki. Miał po prostu zerowe doświadczenie w tych sprawach.

Nigdy dotąd nie był zakochany.

– Powiedz mi, przyjacielu, co ja mam zrobić?

Kamyk czujnie podniósł łepek, słysząc głos mężczyzny. Spojrzał na niego pytającym wzrokiem, podbiegł do nogi.

– Bo widzisz – prawił Leon, podejmując marsz – chodzi o Tonię. Kocham ją.

Ja też ją kocham, zdawało się mówić mądre spojrzenie starego psa.

– Masz więcej szczęścia niż ja, sierściuchu, bo ciebie Tonia kocha, a mnie nie. Trudno, nie zmuszę jej do tego. Jak to szło? Serce nie sługa.

Pies sapnął, jakby chciał powiedzieć, że współczuje mężczyźnie, i ruszył przed siebie żwawym krokiem.

– No właśnie, nie ma się co nad sobą rozczulać, trzeba żyć dalej – podchwycił Leon. – Pal diabli mnie i moje dezyderaty, ale widzisz, ja po

prostu nie mogę jej tak zostawić. Boję się o nią. Jest taka krucha. A wydaje jej się, że może wziąć na swoje barki dowolny ciężar i dźwigać go sama. Jest drobniutka i delikatna, ale ma duszę wojownika, więc nigdy, przenigdy nie przyzna się do słabości. Twój świętej pamięci pan, dziadek Harold, dobrze to rozumiał. Zastanawiasz się, skąd o tym wiem? Ano wiem, bo zapisał jej w testamencie bardzo ładną sumkę. Niestety, nie zdążył dopełnić niektórych formalności, więc te skąpiradła, jego krewni, zaskarżyli testament. Tonia nie była przy jego otwarciu, więc o niczym nie wie, a ja póki co nie chcę rozbudzać jej nadziei, bo po pierwsze proces może się ciągnąć latami, a po drugie, tamci mają niestety solidne podstawy, by liczyć na wygraną.

Jamnik zatrzymał się przy śmietniku, uniósł tylną łapę i oblał kubeł szerokim strumieniem moczu.

– Podzielam twoje zdanie o krewnych Harolda – ubawił się Leon. – Wracając jednak do Toni. Jest uparta jak oślica. Nie życzy sobie mojej pomocy. A Ismena od niej nie lepsza i na pewno mi nie zdradzi, na co Tonia choruje. Uczepiła się tajemnicy lekarskiej, jak rzep psiego ogona… Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Gdybym tylko wpadł na pomysł, jak zabezpieczyć przyszłość Toni, nie urażając przy tym jej głupiej dumy! To musi być jakieś mistrzowskie, strategiczne posunięcie. Szach-mat. Coś, co ją zaskoczy, nie pozostawi wyboru… Tylko co?

Kamyk podniósł łebek, złapał nosem jakiś zapach i nagle, bez ostrzeżenia, zawrócił i ruszył wyciągniętym cwałem w stronę rezydencji. Sadził nad podziw wielkimi susami i Leon, chcąc nie chcąc, musiał ruszyć za nim biegiem.

– Hej, przyjacielu, o co chodzi? Stój!

Pies nie zwracał uwagi na rozpaczliwe okrzyki opiekuna i ciągnął smycz z werwą niesfornego szczeniaka. Zatrzymał się dopiero na trawniku

przed Rezydencją pod Olchami. Rzucił Leonowi niecierpliwe spojrzenie, a potem zwrócił się ku oświetlonej fasadzie kamienicy i zaszczekał, głośno, jakby wydawał polecenie. Leon usiadł na ławce i przez chwilę łapał oddech. Pochlebiał sobie, że ma znakomitą kondycję, a jednak po wariackim slalomie za psem, pomiędzy przechodniami zażywającymi wieczornego spaceru, sapał jak kowalski miech.

– Odpocznijmy trochę, dobrze?

Kamyk najwyraźniej też potrzebował odetchnąć, bo położył się spokojnie u stóp Leona i przez chwilę obaj trwali w milczeniu, patrząc w tym samym kierunku. Wdzięczna elewacja Rezydencji pod Olchami przedstawiała sobą naprawdę wspaniały widok. Umiejętnie rozmieszczone reflektory subtelnie podkreślały roztańczone rytmy gzymsów, okien i ozdobnych balkonowych balustrad. Zieleń otaczająca budynek była zaprojektowana z fantazją, bujna, znakomicie utrzymana. Wiedział, że to Tonia zadbała…

Tonia.

Rezydencja.

Nagłe olśnienie spowodowało, że zrobiło mu się gorąco. Poczuł się jak gracz, któremu trafił się królewski poker. Zrozumiał, że wygra tę partię.

– Kamyk, coś ci powiem, stary druhu. – Pochylił się i poklepał psa po łebku. – Jesteś genialny. Po prostu genialny.

Odprowadził psa do państwa Cavendish i już w windzie wyszarpnął z kieszeni telefon. Trzeba było jak najszybciej umówić się z notariuszem, zwołać pilne zebranie zarządu. Zanim nazajutrz Antonia Roberts przekroczy próg rezydencji, wszystko musi być zapięte na ostatni guzik.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zbliżała się dziesiąta rano, ale było tak ciemno, jakby zapadał zmrok. Niebo, jeszcze poprzedniego dnia idealnie pogodne, zasnuło się grubą warstwą ciężkich, burych chmur. Porywisty wiatr siekł gęsto lodowatymi pociskami drobnych kropel deszczu.

Kocham cię, kocham, nikomu nie oddam – podśpiewywała cichutko Tonia, brnąc przez kałuże. Palce zaciskała na teście ciążowym, schowanym na dnie kieszeni praktycznego, dzianinowego żakietu. Wiedziała, że to głupie, ale jakoś nie mogła się rozstać z tym jedynym na razie namacalnym dowodem istnienia jej dziecka.

Beztroska euforia, która wypełniała ją poprzedniego dnia, zdążyła się ulotnić podczas niemalże bezsennej nocy. Najgorsze było to, że nie miała z kim porozmawiać o swojej sytuacji. Podczas wlekących się w nieskończoność ciemnych godzin niezliczoną ilość razy chwytała za telefon, żeby zadzwonić do siostry, ale za każdym razem zdecydowanie odkładała aparat na miejsce. Nie. Ofelii należał się spokój, a o tym, że zostanie ciocią, i tak prędzej czy później się dowie.

Jej siostra będzie ciocią, a ona będzie matką. Jak, na Boga, sobie poradzi? Z coraz większym brzuchem, z puchnącymi nogami, w połogu, a potem z noworodkiem? Ona, która ze względu na pracę musiała być dyspozycyjna niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie mogła liczyć na niczyją pomoc?

Nie ty pierwsza i nie ostania – pocieszała się. – Jakoś to będzie. Nie żyła przecież w dziczy, tylko w cywilizowanym kraju, gdzie mogła liczyć na opiekę zdrowotną, pomoc społeczną…

A na Leona?

Nie, na niego nie. Nie chciała jego litości ani dla siebie, ani dla dziecka. A nie była aż tak naiwna, by oczekiwać od Cyborga miłości.

Miłości nie, ale może alimentów? – podsunął dyskretny głos instynktu przetrwania. Uciszyła go. Usłyszała kiedyś, że najlepszą rzeczą, jaką dla dziecka może zrobić ojciec, to kochać jego matkę. Cóż, gdyby Leon ją kochał, nie musiałaby się teraz zastanawiać, czy ma obowiązek mówić mu o tym, że na świecie pojawi się jego potomek. Gdyby ją kochał, wszystko byłoby inaczej…

– Witaj, szefowo! – Joel, z dziwnie uroczystą miną, otworzył przed Tonią na oścież drzwi do pomieszczenia służbowego.

Odpowiedziała mu roztargnionym uśmiechem, podeszła do swojej szafki.

Coś było nie tak, ale nie mogła sobie uświadomić co. Szybko sięgnęła po czysty, wyprasowany uniform konsjerżki, ruszyła do przebieralni.

– Stare nawyki widać nie umierają – usłyszała rozbawiony głos za plecami, a potem pomieszczenie wypełniło się salwami szczerego śmiechu. Spłoszona, zatrzymała się w pół kroku, podniosła głowę i nagle dotarło do niej to, co widzi. Wszyscy tu byli. Joel, Gloria i Amanda, Jim i Josh z nocnej zmiany, Candy, Gladys i Lola, trzy dobre wróżki, pod których dotykiem wszelki brud magicznie znikał. Nawet chłopcy z ochrony i kierowcy. Brakowało tylko George’a, ale nikt się tym specjalnie nie martwił. Ponury zarządca odszedł z pracy przed dwoma tygodniami.

– Co tu robicie? – Tonia zamrugała, ale obraz wesołej gromadki nie zniknął. Pomyślała przelotnie, że przynajmniej nie ma omamów. Zawsze

jakiś plus. Szkoda tylko, że nijak nie rozumie, co tu się dzieje. – Jakaś impreza? Przepraszam, ale muszę się szybko przebrać.

– Szefowo, no co ty? – Joel wciąż uśmiechał się uroczyście. – Chyba nikt nie oczekuje, że pani prezes zarządu rezydencji będzie pomykać w uniformie!

– Jaka znowu pani prezes? O co chodzi? – Tonia bezradnie rozejrzała się dookoła, szukając podpowiedzi w którejś z roześmianych twarzy. Na próżno.

– Słuchajcie, ona chyba o niczym nie wie – powiedział jakiś głos.

– Ale numer! – zawtórował mu drugi.

– Kto jej powie? – zachichotała Gladys.

– Ja. – Gloria wystąpiła przed szereg, jakby szykowała się do uroczystego przemówienia. – Antonio, od pięciu lat pracowałyśmy ramię w ramię. Z ogromną satysfakcją informuję cię, że wreszcie pojawił się właściciel rezydencji, który ma głowę na karku. Dziś punktualnie o ósmej pan Kariakis mianował cię prezesem zarządu. Wszyscy zostaliśmy o tym poinformowani i przyszliśmy, żeby ci pogratulować.

– Wszyscy tu jesteście? – Tonia zmarszczyła brwi.

– O, tak – padła chóralna odpowiedź.

– To kto dyżuruje w recepcji?!

Odpowiedziała jej kolejna salwa śmiechu.

– Słuchajcie, my tu sobie żartujemy, a…

– Ale przecież my nie żartujemy! To szczera prawda, przysięgam. – W głosie Joela brzmiała czysta żarliwość i Tonia poczuła, że uginają się pod nią kolana.

– Za chwilę będzie miało miejsce zebranie zarządu – kontynuowała Gloria. – Wtedy cała procedura zostanie przeprowadzona oficjalnie, ale już

wiadomo, że poprzedni prezes ustąpił, kiedy wyszło na jaw, że, hm, nie wszystkie jego posunięcia były zgodne z prawem, a cały zarząd przychyla się jednomyślnie do twojej kandydatury. Podobnie zresztą jak my wszyscy.

– Niech żyje nowa pani prezes! – huknął Josh i wszyscy mu zawtórowali. Chociaż dziesiąta rano była na to porą zupełnie niestosowną, strzelił korek od szampana.

Tonia nie wzięła udziału w ogólnej wesołości.

– Widzę, że jest tylko jedna osoba, której nikt nie spytał o zdanie – syknęła pod nosem.

Jej własna wyobraźnia także ją zdradziła. Zamiast podsuwać wizje wyrafinowanej zemsty na panu Kariakisie za jego bezwstydną manipulację, ukazywała wszystkie wspaniałe możliwości, jakie dawało stanowisko prezesa.

– Raz się żyje – zdecydowała wreszcie. Owszem, może i padła ofiarą manipulacji, ale nikt nie musiał się o tym dowiedzieć. Bo tak się składało, że doskonale wiedziała, co powinien robić prezes zarządu. Właściwie, to nie mogła się doczekać, kiedy weźmie sprawy w swoje ręce. Och, uczciwie zarobi na to… sowite wynagrodzenie, które wypłacano osobie na tym stanowisku.

Zebranie zarządu, które rozpoczęło się punktualnie o dziesiątej rano, było zapewne najdziwniejszym w historii rezydencji. Nowa pani prezes miała na sobie dżinsy z supermarketu i białą bawełnianą koszulkę. Na wstępie zapytała zebranych, czy ma im podać herbatę, kawę czy wodę mineralną. Wyraźnie nie znała się na konwenansach i nie miała pojęcia, jak wygląda zwyczajowy porządek obrad. Niektórzy zaczęli przyglądać jej się z powątpiewaniem, ale kiedy przystąpiono do omawiania konkretnych problemów, z naturalną swobodą i ujmującą grzecznością przejęła pałeczkę.

Wzięta w krzyżowy ogień pytań przez najbardziej sceptycznych uczestników zebrania, odpowiadała precyzyjnie i pewnie, bez wahania wytykając niedociągnięcia dotychczasowego systemu zarządzania i proponując zmiany. Siedzący przy długim stole eleganccy biznesmeni kiwali głowami z zadowoleniem. Antonia Roberts potrzebowała niecałej godziny, by zdobyć zaufanie i poparcie całego zarządu.

Kiedy obrady się skończyły, a uczestnicy pospieszyli na poczęstunek, pani prezes wymknęła się z sali konferencyjnej, jak strzała pobiegła do windy i z furią nacisnęła guzik najwyższego piętra.

– Leon! – wypaliła, bezceremonialnie wkraczając do penthouse’u.

– Tonia? Dobrze, że cię widzę.

Stał pośrodku salonu, wysoki, nieporuszony, posągowy w swoim ciemnym garniturze. Twarz miał nieprzeniknioną, ale znała go już zbyt dobrze, by nie dostrzec iskierek uciechy w jego oczach.

– Co ty sobie wyobrażasz? – natarła na niego. – To, co zrobiłeś, to nadużycie władzy. Karygodne…

– Spróbuj powiedzieć to mieszkańcom i personelowi rezydencji. Odkąd rozeszła się plotka, że staniesz na czele zarządu, wszyscy świętują. Z balkonów dobiegają wiwaty, a w pomieszczeniu służbowym pije się szampana. Cóż ja mogę na to poradzić? – zapytał retorycznie, rozkładając ręce.

Przez chwilę próbowała wymyślić jakąś ciętą ripostę, ale szybko się poddała. Tego dnia wydarzyło się już zbyt wiele. Zmęczenie powoli brało ją w swoje mocarne, dławiące objęcia.

– Siadaj, proszę.

Och, tak. Z westchnieniem ulgi opadła na najbliższy fotel. Był przepastny i rozkosznie miękki. Mogłaby w nim zasnąć…

– Chciałbym, żebyś coś podpisała.

Drgnęła i otworzyła oczy. Czyżby naprawdę zaczęła zasypiać? Przed nią, na blacie niskiego stolika leżała elegancka papierowa koperta z logo kancelarii notarialnej. Sięgnęła po nią niepewnie, wyjęła staroświecko wykaligrafowany dokument, przebiegła wzrokiem tekst.

– Nie – wyrzuciła z siebie, zrywając się na równe nogi. – Najpierw zostaję prezeską zarządu, a teraz to?! Nigdy w życiu.

– Dlaczego nie? – warknął, robiąc krok w jej stronę. – Dlaczego ciągle mówisz mi „nie”? Dlaczego musisz być uparta jak oślica?

– Może dlatego, że zachowujesz się, jakbyś od bogactwa zupełnie rozum postradał – odcięła się. – Chcesz mi przekazać Rezydencję pod Olchami w akcie darowizny?!

– Przed chwilą, na zebraniu zarządu, udowodniłaś, że jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Może nie było mnie przy tym osobiście, ale, powiedzmy, że miałem tam swoje oczy i uszy.

– Nie chodzi o to, czy się nadaję, czy nie – przerwała mu. – Chodzi o to, że… nie mogę tego przyjąć. Już mówiłam, że nie chcę twojej litości.

Leon popatrzył na nią zimnym spojrzeniem Cyborga, a potem usiadł w fotelu naprzeciwko. I nagle, bez ostrzeżenia, rąbnął pięścią w stół tak mocno, że Tonia aż podskoczyła.

– Naprawdę myślisz, że czuję do ciebie litość? – wychrypiał, pochylając się ku niej. – Przecież to ty nie masz dla mnie litości! Kocham cię i od zmysłów odchodzę, wiedząc, że jesteś w trudnej sytuacji, być może poważnie chora. A ty z uporem mnie odrzucasz. Jeśli jestem dla ciebie taki wstrętny, obiecuję, że nigdy więcej mnie nie zobaczysz, ale chcę, żeby na tym dokumencie pojawiło się twoje nazwisko. Zresztą, to twoja sprawa. Ja zdecydowałem, że oddaję rezydencję. Jeśli nie przyjmiesz darowizny, zaproponuję ją bratankowi Harolda!

– Bratankowi Harolda? – Tonia poczuła, że drżą jej wargi. Usiłowała stłumić histeryczny śmiech, ale nie była w stanie.

– A żebyś wiedziała! – Leon mówił coś jeszcze, ale do niej nic nie docierało. Wciąż słyszała echo dwóch słów, które wykrzyczał we wzburzeniu. „Kocham cię”. Kiedy patrzyła na jego twarz zmienioną gniewem, nie mogła mu nie wierzyć.

– Leon – zebrała się w sobie.

– … przyjmij do wiadomości, że w życiu istnieją rzeczy ważniejsze niż… – perorował.

– Leon!

– Tak? – Potrząsnął głową, jak człowiek wyrwany z transu.

– Ja też cię kocham. I wyobraź sobie, że także posiadam pewien… dokument… na którym już widnieje twoje nazwisko. – Sięgnęła do kieszeni, drżącymi palcami wyjęła test ciążowy i położyła go na stole, dokładnie w tym miejscu, gdzie na akcie darowizny widniała rubryka „podpis obdarowanego”.

Leon zastygł w bezruchu.

– Czy to jest…?

– Tak – wpadła mu w słowo.

– A więc my…?

– Tak – potwierdziła uroczyście.

Przez chwilę patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, a potem zerwał się na równe nogi i ze skutecznością, jakiej nie powstydziłby się cyborg, posłał stojący między nimi stół pod przeciwległą ścianę salonu. Uzyskawszy w ten sposób potrzebne miejsce, padł przed Tonią na kolana.

– Kochasz mnie? – spytał bez tchu.

– Tak. – Przycisnęła do ust splecione dłonie.

– Wyjdziesz za mnie?

– Tak – powiedziała z mocą. Leon ją kochał, a to zmieniało wszystko. Już teraz byli rodziną. Ona, on i dziecko, które powołali na świat. Czy można było posiadać większe bogactwo? Czy mogła liczyć na aż tyle szczęścia w życiu? Nagle zakręciło jej się w głowie, osunęła się z fotela wprost w objęcia Leona i teraz klęczeli naprzeciwko siebie, spleceni w uścisku.

Kontemplowali tę nową, cudowną bliskość, owoc hojnej, szczerej miłości, którą sobie nawzajem ofiarowali.

– Czy już zawsze będziesz mówiła mi „tak”? – spytał miękko.

– O, niedoczekanie twoje! – wykrzyknęła z oburzeniem. Kiedy roześmiał się głośnym, szczęśliwym śmiechem, zamknęła mu usta pocałunkiem.

Przecież musiała mieć ostatnie słowo.

Spis treści:

OKŁADKA
KARTA TYTUŁOWA
KARTA REDAKCYJNA
ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY